



rcin

D  
57

Antona Anony  
Karskiego  
Inwentarza  
Tatarynowo

BADAŃ INSTYTUT  
BIBLIOTEK PAM  
Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



TOMKOWO  
TOMASZ CISSOWSKI

AUTORA AMERYKAŃSKIEGO

## PRZEMOWA.

JAKIM sposobem autor tej książki dostał główne do ułożenia jej materiały, w samem to dziele znajduje się wyłożone. Czytelnik domyslny pojmie bez trudności, że tysiące podobek być może, ażeby nie rozwodzić się obszerniej nad źródłami tajemnymi, z których czerpał. Powie on tylko, pod swoją autorską odpo-

wiedzialnością, iż te części powieści jego, których przytoczeniem powagi żadnych świadectw nie wspiera, są równie prawdziwe jak i te, którym na podobnej korzyści nie zbywa, i że wszystkim zarówno wierzyć można.

Znajdzie się wszakże w ciągu tego pisma oddalenie się autora od ścisłej prawdy historycznej, i nie od rzeczy może będzie dać niektóre w tej mierze objaśnienia. W pogmatwaniu nieskończonem imion, zwyczajów, mniemań, języka, jakie są w używaniu pomiędzy ludami zachodniemi, starał się on raczej unikać kaleczenia uszu, i wydania na mozolne trudy pojętności swojego czytelnika, aniżeli się do

literalnej prawdy przywiązywać. Na przykład, nazywa zawsze jednostajnie Wielki-Duch, Wahkondah, chociaż wie bardzo dobrze, iż oba narody, które w obec stawi, jednostajnym go sposobem nie nazywają. Podobnież i w innych zdarzeniach, starał się raczej nadadź prostotę swojemu opowiadaniu, niżli je zrobić ściśle poprawnym, kosztem wszelkiego porządku i wszelakiej jasności. Dostyc było dla osiągnięcia zamierzonego celu, ażeby portret wydatniejsze rysy oryginału swojego wystawił. Co się zaś tycze cienia, układu i położenia twarzy, w tej mierze niektórych wolności użył. Krótkie to nawet wytłumaczenie się, zdawałoby

się niepotrzebne autorowi, gdyby nie wiedział, że się znajduje pewna klasa „uczonych Tebańczyków“ (1), będących w stanie równie przeczytać dzieło, któremu sama tylko imagi- nacya zapewnić może powodzenie, jako też podobne napisać.

Nie będzie może mniej niepożyteczną rzeczą, uprzedzić cięższe nieco zarzuty, trudniejsze do uprzątnienia, które mogą się zrodzić w umysłach,

---

(1) Wyrażenie Szekspira, użyte w sensie nieoznaczonym, tudzież ironicznym. W jednym ze swoich przystępów obłąkania, król Lear poczytuje Edmunda za jednego z filozofów tebańskich, i chce się zapytywać tego mędrca tebańskiego, względem niektórych wielkiej wagi i wyniosłych metafizycznych zagadnień. (*King Lear*, akt 5).

nierównie wyższej czytelników klasy. Wprowadzić jedną i tęż samą osobę, jako celniejszego aktora, niemniej niż w trzech dziełach; i w terażniejszych czasach przedsięwziąć śmiałych a niebezpiecznych, pod względem pisania książek tego rodzaju, wybrać za scenę opowiadania pustynię, której żadna historyczna pamiątka nie ożywia, i z którą się tak mało wyobrażeń poetyckich (jeżeli tylko choć jedno się znajduje) łączy, oto jest, co może potrzebować obrony. Ztémwszystkiem, jeżeli jest podobna usunąć zarzut pierwszy, drugi sam przez się spełznąć musi koniecznie: albowiem oczywiście obowiązkiem było wiernego historyka, iść wszędzie za

swoim bohaterem, gdziekolwiek mu się obrócić kroki podobało.

Jest rzeczą więcej niż podobną do prawdy, że opowiadacz tych prostych wypadków, z upodobaniem unosił się przyjemném złudzeniem względem interesu, jaki to w oczach innych osób mieć może; ale się jemu zdawało, że życie weterana lasów, który zacząwszy swój zawód nad Oceanem Atlantyckim, przymuszony był przez wzrastający postęp ludności, która się z pośpiechem bezprzykładnym, ścigając zawsze za jego krokami szerzyła, szukać ostatniej przed społecznością uchrony w rozległych i bezludnych zachodnich ste-



pach, wystawiało coś zawierającego w sobie dosyć nauki, i dosyć wzruszającego, ażeby zrodzić w autorze pokusę do puszczenia w świat jego dziejów. Że odmiany, które przymusiły człowieka, z takim charakterem, do tych ustawicznych wędrówek, zaszły w ciągu jednego i tegoż samego życia, jest to prawda historyczna, wątpliwości najmniejszej nie podpadająca: że też odmiany sprawiły podobny skutek na *Myśliwcu* w *Mohikanie*, na *Kamaszu-Kosmatym* w *Pijonierach*, i na *Wniczniku* w *Stepach*, tego jest dowodem świadectwo niemniej poważne, jak te prawdomówne kartki, od których uwaga czytelnika nie będzie dłużej

odrywana, jeżeli tylko życzy je sobie przebiecz, po tém szczerém wyznaniu, iż rzeczy w nich zawarte, bardzo małego są znaczenia.

---

---

TOMKOWO  
TOMASZ CISSOWSKI

S T E P - Y.

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Powiedz pasterzu, zali nieszczędząc pieniędzy,  
Można znaleźć gospodę w tej pustej dzielnicy?  
Znaszli jaką uchronę, w całej okolicy,  
Zlituj się przyjacielu, prowadź nas najprędzej.

SZEKSPIR.

**W**IELE rozprawiano ustnie i na piśmie nad tém zagadnieniem, azali było rzeczą zgodną z polityką, przyłączać rozległe krainy Luizyanny, do niezmiernego już i ledwie w połowie zamieszkałego państwa Stanów-Zjednoczonych; atoli kiedy zapął sporów nieco się uspokoił, a poduszczenia osobi-

stego interesu miejsca liberalniejszym wyobrażeniom ustąpiły, na mądrość tego śródka powszechnie zgadzać się poczęto. Stało się wkrótce rzeczą oczywistą dla głów nawet najciaśniejszych, że wtenczas, kiedy przyrodzenie zatrzymało od strony zachodniej postęp naszej ludności przegrodą pustyni, sposób ten uczynił nas panami pasma krain żyznych, które w rewolucjach ustawnych mogłyby narodu nieprzyjaznego posiadłością zostać. Kraj ten oddał nam wyłącznie klucze wielkiego handlu wewnętrznego i uczynił nam podległemi srogie pokolenia dzikich, wzdłuż naszych granic zamieszkałe. Sprzeczne interesa pojednał i narodowe nieufności ukoił; do wewnętrznego handlu, tudzież do żeglugi po Oceanie Spokojnym tysiączne drogi otworzył; a jeżeliby czas albo potrzeba zrządziły zgodne rozdzielenie tego rozległego państwa, zapewnił nam na przyszłość sąsiada, który wspólnym z nami mówić bę-

dzie językiem, wyznawać też samę co i my religiją, rządzić się temiż samemi zasadami, i spodziewać się należy, że jednostajnych praw w postępowaniu polityczném trzymać się będzie.

Chociaż w roku 1803 ustąpienie nastąpiło; idąca po nim jednak wiosna rozpoczęła się pierwej, nim mądra baczność Hiszpana, zarządzającego prowincją w imieniu swojego króla, zgodziła się na zajęcie posiadłości, czyli na wprowadzenie się nowych właścicieli. Ale zaledwo formalności ustąpienia *dopełniono* i rząd nowy uznano, kiedy roje tego ludu burzliwego, który na pograniczu ludności amerykańskiej w bezprzestanném jest poruszeniu, zapuściły się w lasy, brzeg prawy Missisipi otaczające, z tém samém męztwem i z tąż obojętnością na wszystko, jaka przewodniczyła większej ich liczbie w pełnym trudów przechodzie, z krain atlantyckich ku brzegowi *Rzek Rodziciela*.

Sam czas tylko jedynie mógł zrządzić

zmieszanie się licznych i bogatych osadników niższej Luizyaany z nowymi ich współziomkami; lecz ubózsza i bardziej rozproszona ludność prowincyi wyższej, bezpośrednio prawie, przez potok przybyszów pochłoniąta została. To najście od strony wschodniej, było powstaniem gwałtowném i nagłym ludu, który się dotąd chwilowym przymusem hamował, kiedy potem powodzenie, siłę mu nieodpartą prawie nadało. Pierwiastkowych ich przedsięwzięć trudy i niebezpieczeństwa wrychle zapomniane zostały, kiedy te krainy niezmierne i nieznanome, wystawując się ich oczom ze swojemi rzetelnemi albo też przypuszczonemi korzyściami, nowy im zawód otworzyły. Następstwa były takie, jakie łatwo można było przewidzieć, kiedy się podała tak powabna sposobność plemieniu ludzi, przywykłemu oddawna do przedsięwzięć pełnych przygód, i wyhodowanemu w niebezpieczeństwach.

Tysiące najdawniejszych mieszkańców, tak nazwanych Nowych-Stanów, zrzekło się słodyczy życia spokojnego przez tyle trudów okupionej, i na czele mnogich gromad młodych następców, których puszcze ohiojskie i kientuckie wydały, głębiej się w ląd zapuściły, szukając, jak to można bez pomocy nawet poezyi nazwać, swojej atmosfery przyrodzonej, czyli zgodniejszej z ich upodobaniem. Z liczby tej był dzielny i nieustraszony osadnik (1), który się pierwszy zapuścił w stepy kentuckie. Widziano wtenczas tego szanownego starca, odmieniającego siedlisko nanowo, przedsiębiorącego podróż ostatnią, zostawującego Rzekę-Bez końca między sobą i tłumem, który powodzenie i śmiałość zgromadziły około niego,

---

(1) Daniel *Boon*, który przemieszkawszy lat trzydzieści w pustyniach kentuckich, opuścił je kiedy się za-  
ludniać poczęły, i w dziewięćdziesiątym roku życia  
udał się więcej niż o mil trzysta odległości, na szu-  
kanie innych pustyni, gdzie jeszcze ludzie nie dosięgli.

i udającego się dalej szukać odnowienia tych rokoszy, które nie miały w oczach jego ceny, odtąd jak je formalności ustaw ludzkich krępować zaczęły.

Kiedy się ludzie na podobne przygody narazają, skłania ich zwykle do tego moc nałogu pierwiej zaciągniętego, albo omylna nadzieja, którą sobie tajemnie utworzyli.

Niektórzy udając się za tém marném widmém i chcąc od razu bogatymi zostać, zaczęli szukać kopalni na ziemi jeszcze nie-  
tkniętej, ale takich mała była liczba: największa zaś część wychodzców przestała na założeniu siedzib nad brzegami rzek wielkich, ograniczając się obfitemi płonami, które podobne położenie najślabszemu przemysłowi zapewnia. Takim sposobem z czarodziejskim prawie pośpiechem osady powstały: a większa część osadników, którzy byli świadkami zajęcia tej prowincyi pustej, oglądać z czasem mogła mnogą i niepodległą ludność, oddzieloną od reszty



państwa, i przyjętą do związku narodowego na stopie równości politycznej wraz z innymi Zjednoczonymi-Stanami (1).

Sceny i zdarzenia, mające związek z naszym teraźniejszym opowiadaniem, odbyły się w pierwszej, jak to można nazwać, epoce przedsięwzięć, które tak ważne i tak szybkie wypadki sprowadziły.

Zniwo pierwszego roku po naszym wejściu w posiadłość, już się od dawnego czasu skończyło: liść pozbawiony świeżości kilku drzew zdala od siebie rosnących, już się zaczynał okrywać posępными jesieni barwami, kiedy gromada powozów, ciągnących się jeden za drugim, wytoczyła się z wyschłego łoża niewielkiej rzeczki, i postępowała w pośród powiewanych wiatrami na wzór fal wodnych zielsk równiny, którą w języku opisującego się tu kraju „toczącym się stepem“ nazywano.

Wozy obciążone sprzętami grubej roboty

(1) Missouri.

tudzież narzędziami rolniczemi, niewielka trzoda owiec błakających się i rogatego bydła, które straż tylną stanowiły, postawa dzika, oblicze obojętne ludzi krzepkich, których kroki powolne i ociążałe, w tropy zaprzężonych zwierząt postępowały, wszystko to wydawało gromadę wychodzców, którzy się na szukanie nowego żądź swoich Eldorado wybrali. Przeciwno pospolitemu zwyczajowi ludzi tego rodzaju, opuścili oni doliny żyzne kraju niższego, a przebywając potoki z wąwozami, pustynie jałowe i głębokie bagna, sposobami tylko miłośnikom podobnych przygód znanemi, potrafili otworzyć sobie przejście aż daleko za kresy zwyczajne osad cywilizowanych. Przed niemi rozciągały się te doliny obszerne, które się rozprzestrzeniają ze smutną jednostajnością aż do podnoża Gór-Opoczystych, wtenczas, kiedy o wiele mil poza niemi, wśród okropnej samotności, wzdymały się nurty bagnaistej Platty.

Ukazanie się tego szczególniejszego orszaku na tej przestrzeni jałowej i samotnej, tém więcej w sobie osobliwości zawierało, iż kraina okoliczna niczego nie wystawiała, coby mogło kusić chciwość spekulatora, a bardziej jeszcze, coby mogło pochlebiać nadziejom szukających siedliska na gruncie jeszcze nieuprawnym.

Zielsko stepowe było chude, i nic się nie kazało spodziewać po ziemi twardej i niewdzięcznej, po której się wozy tak lekko jak po gościńcu bitym toczyły. Stąpanie bydła i toczenie się kół, nie zostawiało żadnego po sobie śladu na tych suchych bądylach, które bydło przeżuwało od czasu do czasu, ale natychmiast wyrzucało je z gęby, jako pokarm gorzki, tak dalece, że głód nawet znośnym go uczynić nie zdołał.

Jakiegokolwiek przeznaczenie było tych, na przygody oddanych wędrowców, jakiegokolwiek były przyczyny tajemne ich pewności i bezpieczeństwa pozornego, w miejscu

tek samotném i zdala od wszelkiego rątku, to jest niewątpliwa, że w ich postawie ani w ich sposobie postępowania, nie najmniejszej trwogi, ani najmniejszej niepokojności nie oznaczało. Licząc w jedno kobiety i dzieci, gromada cała, składała się więcej niż ze dwudziestu osób.

Na czele, w pewnej odległości od wszystkich innych, postępował człowiek, który i ze swojego stanowiska i z postawy, zdawał się być naczelnikiem tej gromady. Był on wysokiego wzrostu, ogorzały słońcem, i już podeszły w lata, oblicze jego posępne i obojętne żadnego wzruszenia nie oznaczało, nie ujrzalbyś w nim ani żalu przeszłości, ani troski o przyszłość. Członki jego zdawały się osłabione i jakby opadłe; ale rzeczywiście mieściła się w nich siła i czerstwość nadzwyczajna. Albowiem kiedy choć mała przeszkoda stawiała zawadę jego postępowi, ciało to, które w sposobie bytu zwyczajnego zdawało się wycieńczone i jak-

by przytłoczone własnym ciężarem, okazało zadziwiającą sprężystość, której pierwiastek, chociaż ukryty, ściśle się atoli łączył z jego organizacją; tak słoń ociążały i powolny w swoim chodzie, niemniej jest wszakże straszliwy, kiedy się z nagła uśpiona jego siła obudzi. Część niższa jego twarzy wystawiała rysy szerokie, grube i nieznaczące; wtenczas, kiedy czoło i pod nim oblicze, ta część szlachetna, siedlisko pojętności, miała coś nikczemnego i odrażającego.

Suknie jego okazywały mieszaninę dziewiczną grubego przyodziewku rolniczego, z tą odzieżą skórzaną, wygodną, a nawet potrzebną w podobnych wyprawach. Wszystko to mnóstwem niesfornych ozdób otoczone, które poprzipinane bez gustu najdziksze wrażenie sprawowały. Zamiast zwyczajnego pasa ze skóry daniela, nosił on zbrukany i pomięty pas jedwabny w kolorach najwięcej bijących w oczy. Rękojeść jego noża, z kozłego rogu, mnóstwo srebrnych bla-

szek zdobiło; futro u czapki tak było miękkie, delikatne i wyborne, iżby mu królowa pozazdrościć go mogła: guziki u jego sukni wełnianej, brudnej i grubej były ze świetnego meksykańskiego metalu: tenże sam metal jaśniał na jego fuzyi przepysznie oprawnej, a łańcużki i cacka od trzech nikczemnych zegarków wisiały u rozmaitych części jego osoby. Oprócz torby, fuzyi, ładownicy i rożka od prochu, które nosił na plecach, zarzucił jeszcze na ramiona, od niechcenia, błyszczącą i dobrze wyostrzoną siekierę: pomimo wszakże całego tego ciężaru, zdawał się postępować z taką łatwością i swobodą, jak gdyby nie jego kroków nie mitrężyło i najmniejszy go ciężar nie utrudzał.

O kilka kroków za nim szła gromada młodzieńców, których ubiór z niewielką różnicą, był prawie takż samy, a ich podobieństwo ze swoim naczelnikiem, równie jak i pomiędzy sobą, okazywało jawnie, że to

były dzieci wspólnego rodu. Chociaż najmłodszy za ledwo przeszedł tę życia epokę, która się, według subtelnej definicyi prawa, wiekiem dyskrecyi nazywa, a już się godnym swoich przodków okazał, przynajmniej w tém, że wtenczas jego postawa śmiała równała się wzrostem z mężami jego pokolenia. Nie będziemy się tu zatrudniali opisami jego towarzyszków; znajdą one przyzwoite dla siebie miejsce w ciągu regularnym opowiadania naszego.

Dwie się tylko, w tej małej gromadzie kobiety znajdowały, chociaż od czasu do czasu widzieć można było, z pierwszego wozu wyglądające małe twarzyczki oliwkowe, na których się wielka ciekawość i charakterystyczna żywość malowała. Najstarsza z kobiet miała twarz pooraną zmarszczkami i cerę śniadą: była to matka większej części osób składających tę gromadę: druga była młoda, od lat ośmnastu dziewica, chyża i lekka w chodzie, której ubiór,

ułożenie i postawą, zdawały się okazywać, iż w społeczności, wyższe o wiele szczebli, od swoich współtowarzyszów, zajmowała miejsce. Wóz drugi był okryty płótnem opiętym z taką troskliwością, iż niepodobniestwem było widzieć, co w sobie zawierał. Inne powozy obciążone były ruchomością, sprzętami i narzędziami takimi, jakie łatwo jest sobie wyobrazić u ludzi gotowych co chwila do odmiany siedliska, bez względu na odległość miejsca i porę.

Może w tym wędrownym orszaku i w powierzchowności składających go osób nic nie było różnego od tego, co się codziennie napotyka na wielkich gościńcach naszego kraju, w ustawicznem krzątaniu się i poruszeniu zostającego; ale tło na którym się ten ruchomy obraz malował, samotność i szczególniejszy widok miejsca, odzielną mu zupełnie charakter nadawały.

Na małych dolinach, które stosownie do składu foremego gruntu napotykały się co



mila na ich drodze, widok się ograniczał z obu stron przez wzgórza stopniowane, i prawie nieznaczne, nadające tego rodzaju stepom swoje nazwisko, o któreśmy już mówili, wtenczas kiedy, z dwóch stron innych, widok się rozciągając w przestrzeni szczupłej i ściśnionej, wystawiał rośliny grube, chociaż w dosyć znacznej obfitości. Z wyżyn tych wzgórków, w którąby się kolwiek bądź stronę oko zapuściło, zewsządby się zmordowało jednostajnością widoku, w którym wszystko tchnęło przerażeniem. Rozległość ziemi dosyć wielkie podobieństwo miała do Oceanu, kiedy jego wały wysilone wzdymają się ociężale, w czasie, gdy burza i wściekłość nawałnicy uspakajając się zaczynają. Można tu było widzieć toż samo wzdzymanie się fali regularne, tenże zupełny brak przedmiotów obcych, tenże sam przestwór niezmierny, horyzont tylko za kresy mający. Na tak prostą teorią geolog zapewne się uśmiechnie; ale takie tu

podobieństwo było ziemi do wód przestrzeni, że poeta inaczej pojmować i czuć nie może, jak tylko, że kształcenie się pierwszej, po stopniowaném ustępowaniu drugich następowało. Od jednej do drugiej odległości, wysokie drzewo, z głębi dolin wyrastające, szeroko swoje gałęzie pozbawione zieloności rozwodziło, podobne do odosobnionego okrętu: ażeby jeszcze bardziej powiększyć złudzenie, na równinach najodleglejszych, wznosiły się dwie lub trzy zarosłe drzew gęstych, które wśród horyzontu mglistego, zdawały się być tylu wyspami z łona wody powstającemi. Zbyteczną byłoby rzeczą ostrzegać doświadczonego czytelnika, iż jednostajność powierzchni i niebardzo wyniosłe stanowisko widzów powiększały odległości: ale wszakoż, widząc ostrowy po sobie wściąż idące i wznoszące się jedne ponad drugimi wzgórze, tak daleko, jak tylko zasięgnąć okiem można; musiano zrobić tę uwagę zrażającą,

iż potrzeba będzie przebyć znaczną przestrzeń kraju, płaszczyzny na pozór nieskończone, pierwej, niżby się nadzieje najmniej wymagającego rolnika uiścić mogły.

Pomimo to, naczelnik wychodzców odbywał wytrwale przedsięwziętą podróż, i niemając innego prócz słońca przewodnika, odwrócił się z zaciętością od cywilizacji przybytków, i za każdym krokiem zapuszczał się głębiej w łożyska dzikich tego kraju mieszkańców. Jednakże, kiedy się dzień zaczął do końca nachylać, umysł jego bez wątpienia niesposobny do ułożenia porządnego planu na przyszłość, i niemający innego przewidywania nad to, które się do chwili obecnej stosuje, zdawał się zatrudniony środkami zaradzenia potrzebom swojej gromady, przy zbliżającej się nocy.

Znalazłszy się na wierzchołku wzgórza wynioslejszego nieco nad inne, zatrzymał się na chwilę i rzucił na prawą i lewą wzrokiem pół-ciekawym, upatrując znaków zwiastu-

jących miejsce, w którémby się znajdowały połączone trzy rzeczy najpotrzebniejsze dla nich, woda, drzewo i pastwisko.

Zdawało się, że to śledzenie było bezskuteczne: albowiem popatrzywszy chwil kilka, ze zwykłą sobie bezwładnością, zszedł z pagórka krokami ociążałemi i niejednostajnymi, jak te zwierzęta tłustością obciążone, które zstępując na dół, tak przez swój własny ciężar, jako też i przez szybkość zchodzenia, są popychane.

Przykład jego naśladowali w milczeniu wszyscy, którzy po nim przybyli: każdy z młodzieńców rzucił także naokoło siebie okiem, ale z większą bacznością i z większym interesem. Wtenczas kroki ludzkie i zwierzęce zwolniały, i było rzeczą oczywistą, iż się tu przybliżała chwila, kiedy spoczynek niezbędnie miał się stać potrzebnym. Zielsko stepowe zaczynało wystawiać zawady, które utrudzenie bardziej jeszcze pomnażało, i nieraz do pobudzenia znużo-

nych zaprzęgów zażyć bicza potrzeba było. W tej samej chwili, w której, wyjąwszy naczelną osobę, utrudzenie powszechne zmogło wędrowników, i kiedy wszystkich oczy, przez jakiś rodzaj popędu wspólnego, zwracały się na przód; cała gromada zatrzymała się razem, równie nagłym jak niespodzianym widokiem uderzona. Słońce było zaszło za najbliższy pagórek, zostawując po sobie tę łunę światłości, która przechód jego znamionuje. Wśród tego jasnego blasku wysuwała się postać człowieka opartego o wyniosłość, tak wyraźna i na pozór dotykalna, iż zdawało się, że dosyć było wyciągnąć rękę, ażeby jej dosięgnąć. Wzrost jej był kolosalny, ułożenie zamyślenia się melancholicznego, a miejsce przez nią zajęte wypadło na drodze naszych wędrowników. Ale iskrzące się odbicia, otaczającego ją światła, wszystkich jej proporcyy dostatecznie rozróżnić nie dozwalały.

Wrażenie podobnego zjawiska było szyb-

kie. Ten, który postępował na czele, zatrzymał się, i zaczął się wpatrywać w przedmiot tajemniczy, z interesem pojęnym, który wkrótce zabobonnej trwodze miejsca ustąpił. Synowie jego po przejściu pierwszych wzruszeń zdumienia, zbliżyli się ku niemu: ci, którzy prowadzili wozy, poszli następnie za ich przykładem, i w krótkim czasie wszyscy milczącą i nieruchomą grupę utworzyli. Chociaż pierwsze wyobrażenie stało w umysłach obraz nadprzyrodzonego zjawiska, po chwili atoli dał się słyszeć szcęk oręża: sprawili go dwaj najśmielsi młodzieńcy, którzy pochwycili swoje strzelby, ażeby się mieć w gotowości za pierwszym hasłem.

— Wysłęj chłopców na przód ku stronie prawej, zawołała matka nieustraszona, głosem przeraźliwym i niesfornym, a zaręczam, że Asa albo Abner dokładnie nas uwiadomią o tém stworzeniu!

— Byłoby tu może i niezłe zaprobować

fuzyi, mruknął mężczyzna z obliczem głupowatém i osowiałém, którego rysy i wyraz twarzy miały podobieństwo dosyć uderzające, ze starą niewiastą, i który, mówiąc tonem pewności, wziął swoją fuzyą, i przez szybkie a zręczne poruszenie podniósł ją do wysokości oczu: — Pawnijczykowie — Wilcy (1) wyprawują się polować na płaszczyznach, jak powiadają, gromadami ze stu osób złożonemi: jeżeli tak jest, nigdy oni żadnego człowieka ze swojego pokolenia nie tracą.

— *Zatrzymaj się!* zawołała młodsza z kobiet, której głos wdzięczny drżał ze wzruszenia, nie jesteśmy tu wszyscy razem w gromadzie: może to być przyjaciel.

— Kto teraz wychodzi na czaty, zawołał ojciec, rzucając w tymże czasie wzrok ponury i niechętny na swojego krzepkiego

---

(1) Trzy są rody ludu nazywanego Pawnijczykami: Pawnijczykowie — Wilcy, Wielcy — Pawnijczykowie i Pawnijczykowie — Republikanie.

syna: złożyć broń, — złożyć broń, dodał, wyciągając olbrzymi palec i obracając się do swojego towarzysza z miną człowieka, względem którego nieposłuszeństwo mogłoby się stać rzeczą niebezpieczną. — Mój zachód jeszcze się nie skończył; dokonajmy spokojnie reszty, do zrobienia pozostałej.

Mężczyzna, który się był odkazał z tak nieprzyjacielskimi zamysłami, zdawał się przez połowę pojmować o co chodziło, i położył swoją fuzyą na dawném miejscu. Chłopcy obrócili się ku młodej dziewicy, która się z taką żywością była odezwała, a ich spójrzzenia zdawały się jej zapytywać o powód tego postępku: lecz ona, jak gdyby uradowana zaniechaniem napaści na nieznanego, cofnęła się na swoje miejsce, i zdawało się, że chciała wtenczas zawrzeć się w skromném milczeniu.

Tym czasem horyzont kilkakrotnie barwę odmienił. Po tym blasku świetnym, który omraczał oczy, nastąpiła jasność przy-



ćmiona i łagodniejsza, a w miarę, jak odbicia światła mniej się żywni stawały, postać zjawiska rzeczywistego, czy też urojonego traciła swoje wielkość olbrzymią i zupełnie się wyraźną nakoniec okazała. Wstydząc się niepewności, w jakiej dotąd zostawał, teraz dopiero, kiedy już prawda żadnemu powątpiewaniu nie podpadała; naczelnik gromady puścił się w dalszą podróż, pierwaj wszakże przez ostrożność odwiązał pasy, które fuzyą jego na wozie przytrzymały, ażeby snadniej mógł jej użyć w potrzebie.

Zbytek ten przezorności nie zdawał się być tak bardzo potrzebny: bowiem od chwili, kiedy to zjawisko, w sposób tak niepojęty, nagle się, jakby zawieszony między niebem i ziemią, ukazało, nie widać było po nim nie tylko nieprzyjaznych zamiarów, ale żadnego ruchu. A przypuściwszy nawet zamysły w nim szkodliwe, rysy jego twarzy, które wtenczas dostatecznie

rozdzielić można było, nie zdawały się obiecywać, ażeby je uskutecznić potrafił.

Postać, która surowość więcej ośmiudziesiąt zim przebyła, nie miała nic w sobie, coby zatrwożyć mogło człowieka tak silnego, jak nasz wędrownik. W tym zgrzybiałości stanie, widać było jeszcze, że nie choroba, ale czas ciężarem go swoim przyniatał. Twarz jego chuda i wyschła, nosiła piętno wieku, lecz nie była zmieniona i wycieńczona przez cierpienia: mięśnie i nerwy, które niegdyś wielką siłę okazywały, chociaż uszczuplone, były atoli widoczne; i w tym nawet stanie wydawało się w osobie jego życie i trwałość, które bez znajomej aż nadto-wątpliwości rodu ludzkiego, zdawałaby się wyzywać czas, ażeby odłożył nadal swoje spustoszenia. Ubiór jego po większej części składał się ze skóry sierścią na wierzch obróconej: rożek z prochem i ładownica wisiały mu z ramion, a sam się na niezmiernie długim karabinie opierał,

lecz ten, równie jak i jego właściciel, nosił na sobie ślady długiej i pracowitej służby.

Kiedy się wędrowna karawana zbliżyła do niego o taką odległość, że głos mógł być słyszany; przedłużone wycie z trawy pod stopami starca powstało, i stary pies myśliwski, wielki, chudy, bezzęby podniósł się zwolna, potem otrząsnawszy się, przybrał taką postawę, jak gdyby chciał przeszkodzić wędrownikom bliższego przystępu.

— Ciszej Hektorze, ciszej odezwał się pan jego, głosem, który wiek drżącym nieco uczynił, co tobie mój starszku zawadzają ludzie odbywający podróż za swojemi interesami.

— Cudzoziemcze, jeżeli kraj ten jest tobie znajomy, rzekł naczelnik wędrowców, czy nie mógłbyś wskazać podróżnemu, gdzie on znaleźć może to, co mu jest do noclegu potrzebne?

— Zaliż ziemia, po tamtej stronie Wielkiej-Rzeki jest przeludniona? zapytał sta-

rzec tonem uroczystym, zdając się nie sły-  
szyć pytania, które do niego było obrócone;  
w przeciwnym razie, po co moje oczy wi-  
dzą to, czego się nigdy oglądać nie spodzie-  
wały.

— Jest jeszcze bez wątpienia miejsce dla  
mających pieniądze, a dla takich, w każ-  
dym kraju tak samo, odpowiedział wędro-  
wnik; ale co się mnie tycze, znajduję, że  
tam jest już zanadto ludzi. Jak można o-  
znaczyć odległość od tego miejsca do naj-  
bliższego punktu Wielkiej-Rzeki?

— Daniel ścigany przez myśliwych, nie  
może się ochłodzić w nurtach Mississipi,  
pierwej nim pięćset mil przebędzie.

— A jakież nazwisko dajecie temu oko-  
licznemu obwodowi?

— Jakie nazwisko? pokazując mu niebo  
znaczącém skinieniem; czy mógłbyś nazwać  
miejsce, w którym widzisz ten obłok?

Wędrownik spójrzał nań z miną czło-  
wieka niepojmującego co do niego mówią,

i w pół podejrzującego, a zali nie jest przedmiotem żartów: przestał wszakże na tej odpowiedzi.

— Jesteś zapewne, równie jak ja, nowym tu przybyszem, cudzoziemcze; inaczej nie wzbraniałbyś się wesprzeć podróżnego niektórymi radami: co bardzo niewiele kosztuje, bo to jest tylko dar słowny.

— Nie jest to bynajmniej dar żaden, ale raczej dług, z którego się starzy uścić młodszym są obowiązani. Czegoż się więc ode mnie żadasz dowiedzieć?

— Gdziebym się mógł na nocleg zatrzymać. Co się tycze pościeli i pokarmu, w tej mierze wcale nie jestem wybrydny; ale każdy stary, podobny mnie, wędrownik, zna wartość słodkiej wody i dobrego dla bydła pastwiska.

— Udaj się więc za mną, a znajdziesz jedno i drugie: i tym tylko prawie mogę ci się w tych jałowych stepach przysłużyć.

To rzekłszy starzec oparł na ramieniu swój ciężki karabin, ze snadnością, jak na jego lata, godną uwagi; i nie mówiąc więcej, wystąpił na przód dla pokazania im drogi, przebył potem wzgórek, z którego się na przyległą dolinę zstępowało.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

Tutaj rozpiąć mój namiot, tu wypocznem snadnie;  
— Lecz gdzie jutro? — Do licha, jutro? gdzie przypadnie.

RYCHARD III.

**W**ĘDROWNICY odkryli wkrótce dowody zwyczajne i niezaprzeczone, że to, czego szukali, nie było zbyt daleko. Zródło świeże i przejrzyste, wynikające z łona doliny, mieszało swoje wody z kryształami wielu innych mniejszych przyległych poników i tworzyło strumień, który w przeciągu mil wielu ścigać można było wzrokiem po dolinie: ponieważ krzewy i wybijała zieloność roślin wznosząc się nad jego wilgotnemi brzegami, nurt jego rysowały. Starzec zwrócił

3\*\*

się w tę stronę, a zwierzęta własnym popędem przyspieszyły kroku, bo im instynkt zapowiadał bliskość dobrego pastwiska, i miejsce odpoczynku.

Przybywszy na stanowisko, które za dogodne uważał, przewodnik zatrzymał się, a wzrok jego pełen wyrazu, zdawał się zapytywać tych, którzy za nim postępowali, czy znajdują wszystko, czego im było potrzeba? Naczelnik wędrowników rzucił okiem na około siebie i przypatrywał się otaczającym go miejscom z przenikłością człowieka, będącego w stanie sądzić o tak delikatnym zadaniu: chociaż w tém wszystkiém zachował tę powolną baczność, która najmniejszym poruszeniom jego przewodniczyła.

— Tak, jest tu wszystko, czego potrzeba, rzekł nakoniec, jak gdyby z wypadku swoich uwag uradowany: dzieci widziałyście zachód słońca, dalej do roboty.

Młodzieńcy posłuszeństwo swoje wcale



charakterystycznym sposobem objawili. Rozkaz, był nim albowiem, jeżeli mamy sądzić po sposobie przemówienia naczelnika, przyjęty został z uszanowaniem; ale nie było żadnego poruszenia, oprócz zamachu jednej albo dwóch siekier, które z ramion spadły na ziemię wtenczas, kiedy ci, do których należały, ciągle z oczyma nieporuszonemi, na jednémże miejscu, jakby w stanie odrętwienia zostawali. Tymczasem naczelnik niedając baczenia na tę pozorną bezwładność, znając naturę popędów, którym dzieci jego ustępowały, zdjął z siebie swoją torbę i swoją fuzyą, a przy pomocy tego, któregośmy widzieli tak porywczym do broni, zaczął koni wyprzęgać.

Nakoniec, starszy z młodzieńców, pomknął się ociążałym krokiem; i bez żadnej widocznej usilności, utopił swoją siekiere w pniu bawełnicznego drzewa. Pozostał chwilę nieruchomy, uważając na skutek wymierzonego ciosu, z miną pogardliwą ol-

brzyma, patrzącego się na marny opór pigmejczyka: a potém potrząsając siekierą ponad swoją głową, z ułożeniem i szykowną zręcznością, jaką mógłby rozwinać najbiegłęszy mistrz wechtowania, wywijając swoim szlachetniejszym lecz nie tak pożytecznym orężem, oddzielił od pnia drzewo, które z łoskotem upadając na ziemię, dało niezaprzeczone o jego sile i zręczności świadectwo. Towarzysze jego patrzyli się na to z bezwładną ciekawością: skoro ujrzeli to drzewo powalone na ziemi i u stop ich rozciągnięte; jak gdyby za daném hasłem do powszechnego szturm, posunęli się na przód wszyscy razem, wzięli się do roboty: a z czystością i dokładnością, któraby nieświadomego widza zdumiała; ogołocili niewielką przestrzeń, która im była przydatna z gęstych drzew ją okrywających, a to tak dostatecznie i tak szybko, jak gdyby wichur wymiotł to miejsce w swoim gwałtownym przelocie.

Mieszkaniec stepu poglądał na nich w ba-

czném milczeniu. W miarę, jak te drzewa uderzały o ziemię, podnosił oczy, zwracał wzrok bolesny na miejsce, które po nich próżne pozostało: po czém gorzki się uśmiech na jego twarzy malował: odwracał się wymrukując niewyraźnie jakieś narzekania, jak gdyby przez wzgardę dla wyrażenia ich nie chcąc podnieść głosu. Lecz wkrótce przechodząc pomiędzy gromadą młodzieńców czynnych i ochoczych, którzy już wielki ogień rozniecili, starzec zaczął uważać na poruszenia naczelnika wędrowców i jego towarzysza, który miał dzikie i odrażające oblicze.

Wyprzęgli już byli konie, które chciwie liście drzew powałem leżących pożerały, i krzątali się około wozu, z taką troskliwością okrytego. Popychając każdy koło silném ramieniem, wtoczyli go na ustronną niewielką wyniosłość, przypierającą do lasu. Pobrali potém ogromne dragi, które zdawały się oddawna do tegoż samego

służyć użycia, i końcami grubemi powbijali je w ziemię, następnie końce obrócone do góry poprzywiązywali do łąków, utrzymujących płótno, które wóz okrywało. Inne płótno większego rozmiaru wydobyte zostało z wozu, rozciągnięte ponad tą budą i przytwierdzone do ziemi kołkami, tworząc obszerny i wygodny namiot. Spójrzawszy na swoje dzieło z interesem pełnym uradowania, raz równając fałdy namiotu, znowu zabijając mocniej do ziemi kołki, połączyli znowu nakoniec wspólnie siły, i ująwszy się dyszla wytoczyli wóz z namiotu: który, gdy się znalazł pod otwartym niebem, odarty ze swojej pokrywy, nic w nim nie widziano, oprócz mało znaczących sprzętów i ruchomości. Naczelnik wędrowców pozdejmował je natychmiast, i sam pozanosił do namiotu: przez co się zdawało, że tam wchodzić nikt oprócz niego, ani nawet zaufany jego towarzysz, nie miał prawa.

Ciekawość jest uczuciem takim, że od-  
ludność, zamiast osłabienia, jeszcze je po-  
mnaża. Sędziwy stepu mieszkaniec widział  
te rozporządzenia skryte i tajemnicze, do-  
świadczać jej wpływu i nagabania w pe-  
wnym stopniu. Zbliżył się do namiotu, i  
zabierał się do podniesienia jednej jego za-  
słony, w zamiarze oczywistym obaczenia,  
co się też w nim zawierało; kiedy tenże  
sam człowiek, który niedawno godził na  
jego życie, pochwycił go za ramię i przez  
potrącenie cokolwiek natarczywe, jak gdyby  
chcąc pokazać swoją siłę, odepchnął go o  
kilka kroków od miejsca, które on, jako  
punkt najzdadniejszy do obserwacyi wybrał.

— Jest to prawidło uczciwe, mój bracie,  
rzekł do niego tonem oschłym, rzucając  
oraz wzrok pełen groźby, — a które przy-  
najmniej nie zawiera w sobie niebezpie-  
czeństwa: patrz siebie, a będzie dosyć  
z ciebie.

— Nadzwyczajną byłoby rzeczą, ażeby

ludzie przybywali w te pustynie, mając z sobą coś takiego, z czémby się chować musieli, odpowiedział starzec, jak gdyby chcąc usprawiedliwić postępek, do którego się zabierał, nie wiedząc jak w tej mierze sobie począć: — i nie sądziłem, ażebym zrobił co złego, chcąc zajrzeć wewnątrz tego namiotu.

— Nadzwyczajną także jest rzeczą, że się tu znajdują ludzie, jak mi się zdaje, odpowiedział wręcz jego przeciwnik: zakrawa to coś na starą krainę, która mi się zdaje być nadzwyczajnie zaludniona.

— Ta kraina jest równie stara jak i reszta dzieł Przedwiecznego, takbym przynajmniej rozumiał: co się zaś tycze jej zaludnienia, w tém się bynajmniej nie omyliłem. Wiele upłynęło miesięcy, przez które oczy moje nie spoczęły na obliczu człowieka, moję mającego barwę. Powtarzam ci to przyjacielu, zem nie chciałem ciebie obrazić: nie wiedziałem bynajmniej, azali

jest pod tém płótnem coś takiego, co by dni dawne na pamięć mi przywieśdź mogło.

Kończąc to proste usprawiedliwienie się, starzec zwolna się oddalił, jak człowiek przenikniony prawem, którego każdemu wolno używać według upodobania, względem należącej do niego rzeczy, bez mieszania się w to jego sąsiadów: zasada sprawiedliwa i zbawienna, którą on również w zwyczajach swojego życia wyczerpnął. Powracając na miejsce, gdzie wędrownicy stanęli obozem: — miejsce to bowiem miało wtenczas cały pozór obozu, — posłyszał naczelnika, który głosem swoim chrapliwym i rozkazującym, wołał:

— Heleno Wade!

Na to wezwanie, młoda dziewczica, którąśmy już naszym czytelnikom ukazali, a która wtedy ze starą niewiastą około ognia była zatrudniona, wybiegła z pośpiechem, i przemijając około starca z lekkością sarny, skryła się natychmiast za straszliwém płó-

tnem namiotu, do którego wstęp niewtajemniczonym był zakazany. Ani jej zniknięcie nagłe, ani żadne z rozporządzeń, któreśmy opisali, nie zdały się najmniejszego podziwienia wśród tej gromady sprawować. Młode chłopcy, którzy, już po ukończeniu wyrąbywania drzew, położyli siekiery, zatrudnieni wszyscy byli, z miną roztargnioną i obojętną, która ich znamionowała: jedni równym rozdziałem karmu pomiędzy bydłem, drudzy tłuczeniem w moździerzu podróżnym, dla przygotowania *hominii* (1), a jeden lub dwóch zataczaniem wozów na stronę, i rozporządzeniem ich tak, ażeby tworzyć mogły gatunek warowni zasłaniającej ich koczo-wisko, inaczej, wszelkiej przed napaścią pozbawione zasłony.

Rozmaite zatrudnienia wkrótce ułatwione

---

(1) Potrawa krajowa, gatunek rzadkiej mącznej kaszy z kukuruzy.



zostały, a ciemność zaczynała okrywać przedmioty na okolicznej dolinie, kiedy wrzaskliwa Megera, której płuca bez przestanku, od czasu jak się zatrzymano, były w robocie, przez łajanie i naglenie opieszalszych jej dzieci, oznajmiła głosem, który w niezmiernej odległości mógłby się dosłyszeć, że wieczera czekała tylko na obecność tych, którzy jeżdżją byli powinni. Jakieżkolwiek są inne przymioty mieszkańca pogranicznego, rzadkie jest zdarzenie, ażeby się z okazaniem gościnności nie pokwapił. Zaledwo naczelnik usłyszał głos przeraźliwy swojej żony, wnet rzucił oczyma naokoło siebie, szukając starca, ażeby go posadzić na pierwszym miejscu, przy skromnym posiłku, na który go bez wielkiej ceremonii wzywano.

— Dziękuję ci przyjacielu, {rzekł mieszkaniec stepu, odpowiadając na zaprosiny, ażeby zajął miejsce około wrzącego kotła: dziękuję ci z całego serca; alem się

już ja posilił na dzień cały, a nie jestem z rzędu tych ludzi, którzy sobie zębami kopią mogiłę. Jednakże, ponieważ żądasz tego, usiądę obok ciebie: albowiem wiele czasu przeminęło, jakem nie widział ludzi mojej barwy, chleb swój powszedni pożywających.

— Więc już dawno mieszkać musisz w tych okolicach, rzekł wędrownik, tonem wskazującym, iż czynił raczej uwagę, nie zaś zadawał pytanie, mając pełną gębę smacznej *hominii*, przygotowanej przez jego żonę, która jakkolwiek odrażająca, wyborną wszakże kucharką była. — Powiadano nam w krainie niższej, iż znajdziemy tu mieszkańców rzadko bardzo rozsianych, i zgodzić się powinienem, że nas w tej mierze nie bałamucono: albowiem wyjąwszy kupców kanadyjskich, u Wielkiej-Rzeki, pierwszym jesteś z rodzaju ludzi białych, któregośmy na przestrzeni pięćset mil wielkich spotkali, licząc przynajmniej według twojej własnej rachuby.

— Chociażem w tych stronach lat wiele przepędził, nie mogę wszakże powiedzieć, żebym tu był zamieszkały: ponieważ nie mam stałego siedliska, i rzadko się zuarza, ażebym ciągle cały miesiąc na jedném przepędził miejscu.

— Z powołania bydz musisz myśliwcem? rzekł wędrownik, zwracając ku niemu oczy, jak gdyby się lepiej chciał swojej nowej znajomości przypatrzeć. Atoli broń twoja nie zdaje się bydz najlepszą do tego rzemiosła.

— Starą jest już ona i schyla się równie jak jej właściciel do końca, odpowiedział mieszkaniec stepu, zwracając na swój karabin wejrzenie, w którym się razem żał z czułością malowały; i mogę dodać jeszcze, że nie ma wiele do czynienia. Przyjacielu, ty mnie bierzesz za myśliwca; a ja niczem lepszym nie jestem, jak tylko *wnicznikiem* (1).

---

(1) *Wnicznik*, ten który chwyta we wniki czyli sidła.

Wyraz ten utworzyliśmy na oddanie oryginalnego

— Jeżeli tylko głównie jesteś jednym, sprawiedliwie powiedzieć mogę, że mniej więcej jesteś i drugim: albowiem te dwa stany wspólnie prawie z sobą postępują w tych stronach.

— Na sromotę człowieka, mającego dosyć sił jeszcze, ażeby mógł polować, odezwał się wnicznik, któremu w dalszym ciągu statecznie to nazwisko dawać będziemy. Więcej niż przez lat pięćdziesiąt nosiłem mój karabin w pustyniach, nie zastawiając nigdy najmniejszego sidła na ptaki, nawet unoszące się w powietrzu, a tém bardziej na biedne zwierzęta, których cały ratunek jest w łapach.

---

w texcie angielskim *trapper*, wytłumaczonego przez P. *Defauconpret*, przez wyraz nowo także utworzony *trappeur*. Ponieważ pierwszego dotąd angielski, a drugiego nie miał język francuzki; czytelnicy przeto nasi nie poczylają nam za złe, żeśmy się nazwanie nowe ukuć ośmielili. *Licuit semperque licebit signatum presente nota producere nomen.*

— Czy kto zdobędzie sobie skór potrzebnych na przyodzievek za pomocą fuzyi, lub też sidła, rzekł towarzysz naczelnika wędrowców, nikczemnego oblicza, z miną surową i ponurą, ja w tém wielkiej różnicy nie upatruję. Alboż ziemia nie jest stworzona dla człowieka, i wszystko, co jest na niej, nie jestże przeznaczone na jego użytek?

— Cudzoziemcze, zdajesz się nie mieć dosyć zapasu, jak na człowieka żyjącego daleko od stron zamieszkanych, rzekł przerwając naczelnik, tonem natarczywym, jak gdyby miał jakieś powody żądania odmiany przedmiotu rozmowy. Spodziewam się, że w skóry lepiej jesteś opatrzony.

— Na mało mi się to wszystko przyda, odpowiedział starzec, ze słodką uprzejmością. W moim wieku, nieco pokarmu i odzieży, to i wszystko, czego potrzeba, a tego, co nazywacie zapasem, nie potrzebuję bynajmniej, chyba tylko, żeby od

czasu do czasu na nieco prochu i ołowiu zamienić.

— Nie jesteś zatem urodzony w tych stronach? rzekł wychodźca, mając obecne w pamięci znaczenie bardzo niepewne wyrazu, którego sam użył, stosownie do zwyczaju krajowego, zamiast *sprzętów* albo *rzeczy*.

— Urodziłem się na brzegu morza, chociażem najznaczniejszą część mojego życia w lasach przepędził.

Na te słowa cała gromada otworzyła wielkie oczy, i spójrzała nań z tym głębokim interesem, jaki wzbudza ukazanie się niespodziewanego przedmiotu. Jeden lub dwa głosy powtórzyły wyrazy *na brzegu morza*, i od tego czasu, niewiasta, pomimo cały swój surowy ton, okazała dla niego względy, które nie bardzo zwykła była mieć dla swoich gości; ale był to rodzaj czci, którą ona dla zacnego imienia wędrowniczego okazywała. Po dłu-

giej dosyć zwłoce, którą zdaje się, że poświęcił na rozmyślanie, wychodźca, nie widząc bezwątpienia potrzeby dłuższej przerwy w zachodzie około posiłku, rozpoczął nanowo rozmowę.

— Daleko leżą, jakém słyshał, Wody-Zachodnie, od brzegów Rzeki-Bez-końca?

— Tak jest, tak, bardzo daleko! i ja wiele się napatrzył i wiele ucierpiał odbywając tę podróż.

— Musiała to bydz podróż przykra i pracowita, przebiegając tę drogę w całej jej długości.

— Przez siedmdziesiąt i pięć lat byłem na tej drodze, a w przestrzeni, jakąście przebyli od Hudsonu, nie masz tej pół mili, na którejbym zwierzyny własnego mojego łowu nie zjadał. Ale to są daremne przechwałki: na co się przydadzą dawniejsze czyny, kiedy życie swojego kresu domierza?

— Spotkałem jednego razu człowieka,

który płynął w łodzi po rzece, tej właśnie, którą starzec wymienił, rzekł jeden z dzieci, mówiąc pocichu, jak ten, który swoim wiadomościom nie dowierza, i który sądzi za rzecz przyzwoitą odzywać się z bacznością, w obec człowieka, co tyle widział; — miarkując potem, bieg jej powinien być nader bystry, i wielka głębina, kiedy takie łodzie podejmować zdołała.

— Tak, jest to niezmierna przestrzeń wody, i wielka liczba miast pięknych wznosi się na jej brzegach, mówił dalej starzec, a wszelakoż jest to tylko strumyk w porównaniu z Rzeką-Bez-końca.

— Ja nazywam bystrością wody to tylko, gdzie się nikt zawrócić nie zdoła, odezwał się człowiek nikczemnego oblicza. — Prawdziwą rzekę przebyć potrzeba, nie zaś zawracać się na niej jak zając na polowaniu.

— Dalekoś był ku stronie zachodniej? zapytał się emigrant, przerywając nanowo swojemu ponuremu towarzyszowi, jak



gdyby chciał przeszkodzić mu, ile możności, do uczestnictwa w rozmowie. Postrzegam, że tu są tylko nieskończone zarosłe.

— Możesz podróżować przez całe tygodnie i zawsze toż samo znajdziesz. Myślę sobie często, że Pan Bóg umieścił ten stepu jałowy obwód, poza Stanami, ażeby dać uczuć ludziom, do jak opłakanego bytu ich szaleństwo może jeszcze kraj doprowadzić. Tak, możesz podróżować przez całe tygodnie, przez całe miesiące po tych płaszczynach otwartych, nie napotykając żadnego pomieszkania, żadnej chałupy, żadnej uchrony. Dzikie nawet zwierzęta, dla znalezienia swoich legowisk, całe mile muszą przebiegać: a wszelakoż, rzeczą jest rzadką, kiedy wiatr dmie od wschodniej strony, żeby mi się nie zdawało słyszeć razów siekiery i runienia walącego się drzewa na ziemię.

Starzec tłumaczył się ze szlachetno-

ścią, równie jak i z powagą, a wiek jego długi nowej ważności wyrazom jego dodawał. Opowiadania jego do tego stopnia interesowały słuchaczy, iż stali nieporuszeni około niego i w milczeniu jak grobowce. Starzec musiał sam rozpocząć rozmowę: co uczynił, nie wprost się zapytując, jak to jest w wielkim zwyczaju u pogranicznych mieszkańców.

— Nie najłatwiej wam było przebyć w brod nurty wody, i tak się pomknąć w głąb stepu, z waszemi zaprzęgami koni i trzodami rogatego bydła.

— Posuwałem się lewym brzegiem Wielkiej-Rzeki, odpowiedział emigrant, aż pókim postrzegł, że nurt daleko nas na północprowadził. Wtenczas przebyliśmy go na płytach, nie ucierpiawszy wiele. Kobięta, jedno czy też dwa runa, ze strzyżenia przeszłorocznego utraciła, dziewczęta zaś mniej jedną krową w trzodzie rachują. Od tego czasu, wybornie nam się udawało, rzuca-

jąc most na małych rzeczkach, które się prawie codziennie nadarzały.

— Rozumiałbym, iż będziecie postępowali na zachód, aż do znalezienia miejsca przyzwoitszego osiedleniu się waszemu.

— Aż póki nie znajdę powodu zatrzymania się, lub też powrócenia nazad, odpowiedział emigrant, tonem opryskliwym i z twarzą zasępioną. W tym czasie powstał, a to poruszenie nagłe i niespodziane, koniec rozmowie położyło. Wnicznik poszedł za jego przykładem, drudzy też samo uczynili, i nie wiele dając baczenia na obecność gościa swojego, zaczęli się zabierać do rozporządzeń noclegowych. Sala-sze zostały wzniesione z gałęzi drzew, z grubego nakrycia i ze skór bawolich, wszystkie, tam i ówdzie porozstawiane, bez względu na nic więcej, jak tylko na chwilową dogodność. Młodsze dzieci ze swoją matką do nich się schroniły. I rzeczą jest więcej niż podobną do prawdy, że wszy-

scy niedługo w śnie głębokim pogrążeni zostali. Co się tycze mężczyzn, ci mieli jeszcze niektóre do wypełnienia obowiązki, pierwój, niżby o spoczynku pomyśleć mogli. Potrzeba jeszcze było uzupełnić obwarowanie się zewnętrzne, dać nowe jado bydłom, pogasić starannie ogień, i wybrać tych, którym w czasie nocy nad bezpieczeństwem gromady czuwać potrzeba było.

Żeby się lepiej obwarować, poprzytaczali kłody drzewa, dla zapełnienia miejsc próżnych pomiędzy wozami, i tak rzecz rozporządzili, iż ten mały obóz, ze wszystkich stron, według prawideł wojennych był zamknięty. Cała gromada, równie ludzie jak i bydła, znaleźli się zawarci w tym ciasnym obrębie: wyjąwszy tych, którzy się schronili w sałaszu: zwierzęta poczytywały się za dosyć szczęśliwe, iż mogły swoim członkom utrudzonym dać wypoczynek, przyczyniając nieco zachodu

swoim panom, ledwo małoco więcej od nich rozumu mającym. Dwaj młodzi emigranci wzięli swoje fuzye i odnowili podsypkę na zapale, opatrzyli skałki z najszkrupulatniejszą bacznością, i udali się na stanowiska po dwóch końcach obozu: jeden ze strony prawej, drugi z lewej, skryli się w cieniu drzew, w taki atoli sposób, iż każdy, ze swojej strony, mógł nie spuścić z oka części tej stepu, na którą szczególniejsza baczność była mu poruczona.

Wnicznik podziękowawszy emigrantowi, który mu słomę swoją ofiarował na posłanie, zostawał w obwodzie obozowym i przypatrywał się temu wszystkiemu, co się w nim odbywało: a wtenczas, kiedy już wszystkie przysposobienia zostały ukończone, oddalił się krokiem powolnym, oszczędzając sobie zachodu pożegnania.

Była to właśnie noc pierwsza na nowiu, a to światło blade i drżące, które rzuca księżyc młody, przesuwawało się po falach

stepowych, których powierzchnią zlekka posrebrzało, wtenczas, kiedy wielkie masy cieniów, przerwy pomiędzy niemi znaczyły. Przywykły do scen podobnego rodzaju i do samotności widoku, starzec zapuścił się sam jeden w te pustynie bez granic, jak śmiały okręt, który porzuca port i powierza się nieskończonym smugom oceanu. Szedł przez czas niejaki, sam nie wiedząc dobrze o tém, gdzie go nogi niosły, i zdając się nie dbać o to. Nakoniec przybył na wierzchołek jednego pagórka, zatrzymał się na nim, i poraz pierwszy od rozstania się z tymi, którzy w duszy jego tyle przypomnień i tyle głębokich rozmyślań obudzili, starzec zwrócił uwagę na swój byt istotny. Stawiając na ziemi kolbę fuzyi, oparł na jej końcu swoje dwie ręce, i w dumaniach został pogrążony nanowo. Pies jego położył mu się u stop. Wycie przedłużone i groźne tego wiernego zwierzęcia, było pierwszym głosem, który przerwał jego rozmyślenia.

— Cóż tam jest, mój staruszkę? rzekł nachylając się ku psu swojemu, jak gdyby obracał mowę do istoty obdarzonej jednostajnym z nim pojęciem, i tonem głosu najtkliwszym. Co to mój chłopcze? Na co się nam teraz twoja zdatność do wietrzenia przydadź może? Ah! mój biedny Hektorze, wszystko to teraz niepożyteczne, sarny nawet teraz przychodzą igrać przed naszymi oczyma, mało dbając o dwóch takich starych, jak my, niedołęgów. One także mają swój instykt Hektorze, i postrzegły, że nas nie ma się co obawiać: — tak Hektorze, one to poznały.

Pies podniósł głowę i odpowiedział swojemu panu jękiem załobliwym, który się przeciągnął nawet po ukladzeniu się jego na trawie, jak gdyby prowadził dalszą rozmowę z tym, który język jego niemy tak dobrze rozumieć umiał.

— Jest to przestroga jawna Hektorze! rzekł wnicznik, zniżając głos przez rostro-

pność i poglądając bacznie naokoło siebie; — Cóż tam jest, moj staruszkę? cóż tam jest?

Pies już nozdrza swoje położył na ziemi; nie słychać go było więcej i zdawał się zasypiać. Ale żywe i wprawne jego pana oko, postrzegło zaraz postać, która przy chwiejącym się świetle księżycy, zdawała się iść wzdłuż pagórka, na którym on się sam znajdował. Wkrótce kształty jej stały się wyraźne, i mógł rozpoznać szykowną i lekką kibić niewieścią, która zdawała się wahać, jak gdyby się namyślała, azali zgadzało się z rostopnością dalej postępować.

Chociaż pies otworzył znowu swoje czujne oczy, nie dał jednakże znaków ostrzegających.

— Przybliź się, my jesteśmy twoi przyjaciele, rzekł wnicznik, który ze zwyczaju znajdowania się razem, a może i przez siłę, związku tajemnego, jaki ich jedno-



czył, stawał się niejako jestestwem nierozdzielnym ze swoim starym przyjacielem i towarzyszem: — przybliź się, nie masz się niczego lękać.

Ośmielona słodyczą jego głosu, pociągnięta, bez wątpienia pobudkami jeszcze naglejszemi, osoba, którą wzywał, przybliżyła się, i aż się obok niego znalazła; wtenczas on poznał młodą kobietę, znajomą już czytelnikom pod imieniem Heleny Wade.

— Rozumiałam, żeś się już oddalił, rzekła, rzucając naokoło siebie wzrokiem niespokojnym i bojaźliwym. Oni mówili, że już byłeś daleko, i że nigdy ciebie nie zobaczymy. Ciebie tu znaleźć nie spodziewałam się bynajmniej.

— Ludzie nie są tak rzeczą zwyczajną w tych pustych równinach, odpowiedział wniecznik: i chociaż ja, od tak dawnego czasu żyję wśród leśnego zwierza; śmiem się spodziewać, że nie jeszcze postaci człowieka nie utracił.

— Oh! ja wiedziałam, że jesteś człowie-

kiem, i zdawało mi się, że poznala psa po jego wyciu żalobliwem, odpowiedziała z prędkością, jak gdyby, niewiedząc sama, co chciała wyrazić: potem się zatrzymała, jak gdyby lękając się czy nie powiedziała za wiele.

— Ja nie widziałem psów pomiędzy trzodami twojego ojca, rzekł z oziębłością starzec.

— Mojego ojca! wykrzyknęła młoda dziewczica, głosem, który do duszy przenikał: — ja nie mam ojca! niestety! mogę nawet prawie powiedzieć, że nie mam przyjaciela.

Starzec obrócił się ku niej i spojrział z twarzą pełną politowania, rysy jej wycieńczone wiekiem, które wyrażały na sobie cechę uprzejmości i dobroci, okazywały coś wtenczas słodsze i życzliwsze niż zwyczajnie.

— Dla czegożeś się odważyła puścić w krainy, do których mocnemu tylko udawać się godzi? zapytał się jej: azaliś nie wiedziała,

iz przebywając Wielką-Rzekę, zastawowa-  
łaś za sobą przyjaciela, którego jest obo-  
wiązkciem ochraniać tych, co są bardzo  
słabi, albo bardzo młodzi, ażeby sami sobie  
byli w stanie dać obronę?

— O jakim to mówisz przyjacielu?

— O prawie. — Jest to rzecz opłakana  
bez wątpienia, ale myślę niekiedy, że jeszcze  
gorzej jest tam, gdzie go zgoła nie masz. Tak  
jest, tak, prawo potrzebne koniecznie dla  
pieczy o tych, którzy nie są ani siłą ani ro-  
stropnością obdarzeni. Bez wątpienia,  
moje dziecię, jeżeli nie masz ojca, musisz  
mieć zapewne brata?

Młoda dziewczica uczuła wyrzut tajemny,  
który się w tém zapytaniu ukrywał, a jej  
mitręga nakazywała przez czas niejaki cho-  
wać milczenie. Ale podniósłszy wzrok na  
niego, a widząc słodkie i poważne razem  
oblicze starca, który ciągle patrzył na nią  
z żywym interesem, odpowiedziała z mocą,  
i w taki sposób, ażeby nie mogło pozostać

żadnej wątpliwości, iż zrozumiała, co on chciał powiedzieć:

— Niech Bóg uchowa, ażeby ktoś z tych, których widziałeś, był moim bratem, albo czémkolwiek, coby mi w jakiś sposób mogło być miłym! Ale powiedz mi poczciwy starcze, czy żyjesz zupełnie sam jeden w tej pustej krainie? czy rzeczywiście nie masz tu nikogo więcej nad siebie?

— Są setnie, co mówię? tysiące prawych właścicieli tego kraju, którzy przebiegają te płaszczyzny, ale bardzo nie wiele naszej barwy.

— Tak więc nie napotkałeś żadnego białego, oprócz samego siebie? rzekła przerywając mu, jak gdyby jej niecierpliwość nie dozwalała czekać powolnych wywodów i tłumaczeń starca.

— Żadnego od dawnego bardzo czasu.

— Ciszej, Hektorze, ciszej, ciszej! dodał odpowiadając na warczenie ponure i przytłumione swojego psa starego. — To nic

nam dobrego nie zapowiada; musiał pies kogoś zwietrzyć. Czarne niedźwiedzie zstępują z gór niekiedy, i rozbiegają się niżej jeszcze po dolinach. Hektorby nas nie ostrzegął, gdyby szło tylko o mniej straszną zwierzynę. Nie jestem tak rączy, jak niegdyś, do jęcia się mojego karabina, i moje oko nie jest już tak pewne; jednakże kiedyś za lepszych czasów waliłem najdrapieżniejsze zwierzęta stepowe; przeto nie masz się powodu lękać młoda dziewico.

Ta zaś spuściła na przód oczy ku ziemi, potem podniosła je zwolna i obejrzała niemi wszystkie strony kolejno; lecz jej twarz, mniej bojaźni, niżeli niecierpliwości, wydawała.

Tym czasem lekkie psa szczekanie, nanowo ich uwagę ściągnęło, i zaczęli wtenczas rozpoznawać prawdziwy przedmiot tego powtórnego ostrzeżenia.

## R O Z D Z I A Ł. III.

---

Ciszej, ciszej! zapalasz się tak żwawo jak dusza  
we Włoszech żyjąca: do diabła! masz głowę bar-  
dzo blisko czapki.

SZEKSPIR.

**C**HOCIAŻ starzec okazał niejakiś podzi-  
wienie, widząc przybliżającą się jeszcze  
postać ludzką, i to w kierunku przeciwnym  
miejscu, na którym się emigrant rozłożył;  
zachował wszakże krew zimną człowieka  
przywykłego oddawna gardzić niebezpie-  
czeństwem.

— Jest to człowiek rzecz i człowiek,  
w którego żyłach poczciwa biała krew pły-  
nie: inaczej, chód jego byłby lżejszy. Nie

zawadzi nam, wszakże mieć się na baczności: albowiem mieszkańcy, których się spotyka w tych krainach oddalonych, częstokroć są okrutniejsi jeszcze od prawdziwych dzikich.

Domawiając tych słów obejrzał skałkę swojego karabina, przekonał się, że była w dobrym stanie, i zaczynał brać na cel nieznanego, ażeby go trzymać w oddaleniu, kiedy go towarzyszka drżącą ręką zatrzymała za ramie.

— Na miłość bozką, zawołała, nie kwap się z niczem; może to być przyjaciel, znajomy, sąsiad.

— Przyjaciel! powtórzył starzec, oswoadzając ramie, za które go ujęła: rzadcy są wszędzie przyjaciele, a tu, może jeszcze bardziej, niż gdzieindziej: sąsiedztwo zaś nazbyt mało jest naludnione, ażeby można było przypuścić, że ten, który się ku nam zbliża, jest choć przynajmniej znajomym.

— Lecz nawet, gdyby to był obcy,

nie chciałbyś zapewne krwi jego przelewać!

Starzec utopił w niej oczy; przerażenie i niespokojność malowały się we wszystkich rysach twarzy młodej dziewczycy. Postawił znowu na ziemi kolbę swojej fuzyi, jak człowiek, który zupełnie zdanie odmienił.

— Nie, rzecz, mówiąc raczej do samego siebie, aniżeli do swojej bojaźliwej towarzyszki: ma słusność; krew niepowinna być przelewana w obronie życia niepożytecznego, i tak blizkiego zgaśnięcia. Niech się przybliży; moje skóry, moje wniki, mój karabin nawet, wszystko mu oddam, jeżeli domagać się o nie za rzecz przyzwoitą osądzi.

— Nie będzie się o nic domagał, on nic nie potrzebuje, zawołała jego towarzyszka: jeżeli posiada honor, powinien przestać na tém, co posiada, i nie będzie się dopominał o nic takiego, co do kogo innego należy.



Starzec nie miał czasu wyrazić swojego podziwienia, które w nim te wyrazy niesforne i sprzeczne wzbudzały: albowiem człowiek obcy nie był dalej jak o pięćdziesiąt kroków od niego; wszelakoż, tego wszystkiego, co się odbywało, Hektor nie został widzem obojętnym. Na słuch stąpania, które się co raz wyraźniejszém stawało, zerwał się z łegowiska, które sobie przysposobił u stop swojego pana: a widząc, że się nieznajomy przybliżał, pomknął się prosto ku niemu, czołgając się po ziemi, jak pantera, która się rzucić na zdobycz swoją sposobi.

— Zawołaj swojego psa, rzekł głos donośny i dzwięczny, z przyjacielskim raczej niż z groźnym wyrazem; ja lubię psa myśliwskiego, i byłbym markotny, żeby mu się co złego stało.

— Słyszysz co mówią o tobie, mój stary towarzysz, powiedział wnicznik. Pójdź sam tu Hektorze! szczekać i warczeć, ot i wszystko, co on umie teraz. Przyjacielu

przybliżyć się bez obawy, biedny pies nie ma już zębów.

Obcy człowiek nie dał czekać na siebie: i w chwili był już obok Heleny Wade. Rzucił na nią wzrok bystry, jak gdyby chciał się zapewnić, że była też sama: potem z prędkością i niecierpliwością, która okazywała interes przywiązywany do tej uwagi, zaczął się bacznie przypatrywać temu, który jej towarzyszył.

— Z jakich obłoków spadłeś mój poczciwy staruszkę? rzekł z tonem lekkości prostodusznej, która zdawała się zbyt szczerą i naturalną, ażeby ją za skutek udawania poczytać: albo może i w rzeczy samej mieszkaś w tym stepie?

— Oto od dawnego już czasu jestem na ziemi, a nigdy, jak mniemam, nie byłem tak blisko nieba, jak w tej chwili, odpowiedział wnicznik. Moje pomieszkowanie, jeżeli można powiedzieć, iż mam jakowe, nie jest bardzo daleko. Teraz, mogę po-

zwolić sobie tej swobody z wami, z jaką postępujecie względem innych? Zkąd przybywacie i gdzie jest wasze pomieszkanie?

— Powoli, powoli; jak ja zakończę moje pytania, będzie czasu na rozpoczęcie twoich. Ktoby mógł wywabić ciebie z domu o takiej godzinie? Zapewne nie igrasz goniąc za bawołami o tak późnej dobie?

— Tak, jak mię widzisz, powracam z taboru, którym się wędrownicy rozłożyli na tej górze, i zmierzam do mojego wigwamu. A nie widzę, żebym przez to wszystko robił co szkodliwego komukolwiek.

— Bardzo dobrze. A taż młoda kobieta? zabrałeś ją zapewne dla pokazania sobie drogi, którą ona wie tak dobrze, a ty jej znasz tak mało!

— Napotkałem ją równie, jak napotykam ciebie przypadkiem. Od lat dziesięciu mieszkam na tych płaszczynach otwartych, i dopiero, po raz pierwszy o podobnej godzinie, spotykam dwa stworzenia

ludzkie, mające skórę białą. Jeżeli moja obecność jest natrętną, puszczę się dalej moją drogą. Jest rzeczą więcej niż podobną do prawdy, że jeśli twoja młoda przyjaciółka, opowie ci swoją historią, skłonniejszy będziesz wierzyć mojej.

— Przyjacielu, rzekł młodzieniec, podnosząc nad głowę swoją czapkę skórzaną i kryjąc swe palce w gęstych kędziorach włosów czarnych: jeżeli kiedykolwiek, przed tą nocą, oglądał na moje oczy tę młodą dziewczinę bogdajbym.....

— Zatrzymaj się Pawle, rzekła Helena przerywając mu, i ręką usta zawierając, z poufałością, która zbijała zupełnie jego wyrzekania się. Nasza tajemnica nie jest bynajmniej narażona z tym poczciwym starcem. Widzę to z jego oczu, i pewna jestem miarkując z uprzejmych słów jego.

— Nasza tajemnica! Heleno, czyś zapomniała?.....

— Nie, nie zapomniałam o niczym, co

mi pamiętać wypada. Ale powtarzam ci jeszcze, że nie mamy czego się lękać z tym pocziwym wnicznikiem.

— Wnicznik! to więc wnicznik! Daj mi rękę mój ojciec, wkrótce zabierzemy znajomość, ponieważ nasze stany są do siebie podobne.

— Są podobne! powtórzył starzec poglądając na skład młodzieńca atletyczny, który niedbale, lecz nie bez wdzięku, był się oparł na swojej fuzyi: żeby chwycić stworzenia boże we wniki, zapadnie sidła, mniej sił niż zręczności potrzeba, i to jest właśnie, do czegoś teraz został przywiedziony, ale taki młodzieniec może inne mieć zatrudnienie, które zgodniejsze jest z jego wiekiem i z jego siłami.

— Ja nigdy szczura nie złowiłem w zapadnię, chociaż, przyznam się, często strzelam do tych szatanów czarnoskórych: i tak sobie miarkuję, że lepiej byłoby zostawić mój proch na miejscu i kule w ładownicy.

Nie, nie, starcze; nic z tego, co się czołga po ziemi, nie ściąga się do mojego stanu.

— Jakże więc możesz wystarczyć na swoje utrzymanie się? albowiem niewiele można skorzystać w tych pustyniach, jeżeli zabronimy sobie prawa, które każdy człowiek ma nad zwierzem leśnym.

— Ja sobie nic nie zabraniam. Jeżeli niedźwiedź wlezie mi w drogę, już po nim, daniela zaczynają mię poznawać, a co się tycze bawołów starcze, więcej ich pozabi-jałem, niż najslawniejszy kentucki rzeźnik.

— Umiesz więc strzelać? zapytał się wnicznik, a oczy jego małe i zapadłe, zdawały się ożywiać, i nowym błyszcząc płomieniem; maszże rękę pewną i oko wprawne?

— Ręka, jak najlepsza zapadnia stalowa, skinienie oka szybciejsze niżeli kula od której sarna pada. Chciałbym światła dziennego, i żeby wasze białe łabędzie, albo czarno-pióre kaczki, zmierzały ku południowi przelatując ponad naszymi głowami.

Heleno, gdybyś chciała najpiękniejszego ptaka wybrać ze stada, niechbym utracił sławę, jeżeli w przeciągu mniej niż pięciu minut nie zleciałby na łeb, a to od jednej kuli. Pogardzam fuzyą nabitą szrotem, i nigdy nikt nie może powiedzieć, ażeby podobną kiedykolwiek widział w moich rękach.

— Dobrze mój chłopcze! to dzielny młodzieniec, rzekł wnicznik, poglądając na Helenę, z twarzą otwartą i uradowaną. Ja ręczę za to, i gotowem jawnie oświadczyć, iż w waszej schadzce nic się złego nie zawiera. Powiedźże mi mój chłopcze, ugodziłeś kiedy pomiędzy rogi, w biegu daniela? Ciszej Hektorze, ciszej mój staruszkę! Na samo imię zwierzyny nastawia uszy. Czy dostałeś kiedy zwierza tym sposobem w jego przedłużonych susach.

— To tak samo starcze, jak gdybyś się mię zapytywał, czy jadłem kiedy. Nie masz sposobu, jakimby ręka moja nie zwała daniela, chyba tylko wtenczas, kiedy był uspiony.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze: długi ci zawód przebyć pozostaje, i szczęśliwy i szlachetny zawód, czy pojmujesz? Stary jestem i wyniszczony, do niczego już nieprzydatny, lecz gdyby mi było pozwolono rozpocząć nanowo moje życie i wybrać dla siebie wiek i miejsce pobytu,... wiem, że to takie rzeczy, które nie są i nie mogą być zostawione do woli ludzkiej; lecz wreszcie, żeby mi podobna łaska była udzielona, powiedziałbym: Dwadzieścia lat i pustynie! —

Lecz powiedz mi, jak zbywasz skóry?

— Skóry? nigdy z niej nie odarł daniela, anim wyrwał gęsiego piórka. Strzelam je od czasu do czasu, to prawda, bądź na mój posiłek, bądź dla tego, żebym strzelać nie zapomniał; ale po zaspokojeniu głodu, zostawuję resztę wilkom stepowym. Nie, nie, ja się trzymam powołania mojego, które mi więcej przynosi, aniżeli wszystkie skóry, jakiebym mógł sprzedać po drugiej stronie Wielkiej-Rzeki.



Starzec zdawał się zamyślony przez chwilę, i rzekł potem potrząsając głową, jak gdyby dalej przeciągał swoje dumania:

— Znam tylko jedno powołanie, które można odbywać tu korzystnie....

Wnet mu przerwał młodzieniec, który biorąc w ręce małą puszkę cynową, podał ją starcowi zdjawszy wieko, a ten poczuł słodką wonią najczystszej miodu.

— Pszczelnik! rzekł starzec z prędkością, która pokazywała, że to było znajome jemu powołanie; ale w tymże samym czasie widząc, że młodzieniec tak dzielny i tak odważny, oddaje się podobnemu zatrudnieniu, rzekł z niejakimś podziwieniem: to przynosi korzyść na pograniczu, lecz zdaje mi się, że w tych dzielnicach otwartych, musi być jałowem rzemiosłem.

— Czyż rozumiesz, że rój nie znajdzie wszędzie dla pomieszczenia się drzewa? ja mam przeciwne w tej mierze wiadomości; i to jest, co mię skłoniło zapuścić się o kilkaset

mil dalej niż inni, dla zakosztowania waszego miodu. A teraz, kiedym już zaspokoił twoją ciekawość, spodziewam się starcze, że się oddalisz nieco na stronę, podczas kiedy ja resztę mojej historyi tej młodej dziewczicy dopowiem.

— Niepotrzebną jest rzeczą, zupełnie niepotrzebną, ażeby się on oddalał, rzekła Helena z pośpiechem, który okazywał, że czuła i nieprzyzwoitość i osobliwość tego wymagania. Nigdy mi nie takiego powiedzieć nie masz, czegoby wszyscy słuchać nie mogli.

— Nie? Niechajże więc i tak będzie: żeby mię aż do krwi ścięły szerszenie, jeżeli się ja znam cokolwiek na dziwactwach kobiety. Co się mnie tycze osobiście Heleno, nie troszczę się o nikogo, ani też o nic w świecie; i gotów jestem, jeżeli tego żądasz, udać się do miejsca, gdzie twój stryj, jeżeli możesz to nazwisko dać człowiekowi, który przysiągłbym, że niczem nie

jest dla ciebie, wyprzągł swoje konie; gotów jestem powiedzieć przed nim, co myślę teraz, tak dobrze jak i po upływnionym roku. Słowo tylko powiedz, a ja pójdę do niego, mniejsza o to, że mu się to może nie podoba.

— Tak jesteś prędko i tak natarczywo Pawle Howerze, że ja sama, wiem zaledwo jak z tobą postąpić. Czy to bydz może, ażebyś ty, który wiesz, jak jest ważną rzeczą, aby nas niewidziano razem, ażebyś ty, mówię, oświadczał się isdz do mojego stryja i jego synów.

— Alboż zrobił co takiego, za coby się miał wstydzic? zapytał wnuczniak, który ani krokiem nie oddalił się z miejsca, gdzie się raz zatrzymał.

— Niech Bóg od tego uchowa! ale są przyczyny, dla których niepowinien być widziany w tej chwili.... przyczyny, któreby nic mu nie uwłoczyły, gdyby dobrze były znane, ale o których jeszcze mówic się nie godzi.

A tak mój ojciec, jeżelibyś chciał poczekać przy tych wierzbach, póki ja nie wysłucham, co Paweł chce mi powiedzieć, to nie uchybię przed powrotem do taboru pożegnać się z tobą.

Starzec zdawał się przestawać na przyczynach nieconiestosownych, któremi Helena skłonić go chciała, ażeby pozostał samotny, i odszedł powoli. Skoro tylko znalazł się w takiej odległości, iż nie mógł słyszeć żywej rozmowy, która się natychmiast wszczęła pomiędzy dwojgiem młodych osób, starzec zatrzymał się nanowo i czekał cierpliwie chwili, w której się do nich zbliżyć może: albowiem los ich coraz go bardziej obchodził, bądź dla natury tajemniczych związków, jakie się ich pomiędzy sobą zdawały jednoczyć: bądź przez uczucie politowania dla dwojga istot tak młodych, i jak jemu przyjemnie rozumieć było, w prostocie serca swojego, tak godnych szczęścia. Towarzyszył mu pies jego nieudolny

ale wierny, który się nanowo u stop swego pana położył, i wkrótce usnął według swojego zwyczaju, pograżywszy prawie w zielsku stepowém głowę.

Był to widok tak niezwykły, oglądać dwie postaci ludzkie wśród pustyń, w których przemieszkiwał, iż starzec długo miał oczy wlepione w swoich młodych przyjaciół, których, wśród ciemności ledwo mógł dostrzegać, doświadczając uczuć obcych mu od tak dawnego czasu. Ich obecność obudzała pamiątki i wzruszenia, którym serce jego zatwardziałe, rozumiał, że się nie potrafi poddawać: w myśli jego zaczęły przebiegać obłądnie rozmaite sceny życia, przepędzonego na ciężkich pracach, ale które miało także swoje chwile roskoszy zgodnych z jego dzikiemi upodobaniami i stosownych do jego niecierpiącej hamulca niepodległości. Imaginacya jego błakając się co raz bardziej, już go wprowadziła do idealnego świata, kiedy wtém poruszenie jego wier-

nego psa, wracało mu znowu byt jego zwyczajny.

Hektor, który przywalony wiekiem i niedołężnościami, okazywał tyle skłonności do spania, powstał wtenczas i wychodząc z cienia, który rzueał wzrost wyniosły jego pana, spójrzał daleko po stepie, jak gdyby instynkt jego o przybyciu mu jakiegoś gościa nowego zapowiadał. Potém zdaiąc się zaspokojony swoim obejrzeniem, powrócił na dawne miejsce, i wyciągnął się jak długi, z troskliwością i baczeniem, które pokazywały, iż wygod swoich przestrzegać umiał.

— Co to jest Hektorze? rzekł starzec tonem przyjacielskim, ale usiłując wszakże pół-głosem tylko mówić; co tam jest mój psie, powiedz twojemu panu, co tam jeszcze?

Hektor odpowiedział mu jękiem, ale nie powstał ze swojego miękkiego łoża. Było tego wszakże dosyć, ażeby naprowadzić na

ostrożność człowieka równie doświadczonego, jak był wnicznik. Przemówił nainow do psa swojego, i gwiznął po cichu przez zęby, ażeby go zachęcić do czujności. Tym czasem Hektor, jak gdyby mniemał, iż dostatecznie wypełnił swój obowiązek, pozostał stale z głową ponurzoną w trawie.

— Prosta przestroga dana przez takiego przyjaciela, więcej jest warta, niżeli rada ludzka; rzekł pocichu starzec, zmierzając zwolna ku dwojgu młodym osobom, które całkiem zajęte swoją rozmową, nadto się jej oddały, ażeby przybliżenie się jego postrzedz mogły; i trzeba być z rozumu obranym, żeby na to nie mieć baczenia. — Dzieci, dodał, jak tylko stanął tak blisko towarzyszków swoich, iż mógł być od nich słyszany, nie jesteśmy sami na tej płaszczyźnie: inni oprócz nas po niej krążą; a więc potrzeba to powiedzieć na hańbę naszego rodu, niebezpieczeństwo jest blizkie.

— Jeżeli który z tych kapcanów, synów Skirtyńka Izmaela, poza taborem bawi się włóczęgą pod czas nocy, rzekł młody pszczelnik z żywością i tonem, który łatwo ujść mógł za grożący, podróż jego skończyć się może wcześniej, niż on sam, albo jego ojciec zamierzał.

— Ręczę życiem mojem, oni są wszyscy w taborze, rzekła nagle Helena. Widziałam ich wszystkich uspionych, wyjąwszy dwóch, którzy byli postawieni na straży, a bardzo się musieli odmienić: jeżeli w tej samej chwili, nie są obaj pogrążeni w jakimś marzeniu, polując na indyki, albo się bijąc przez sen na placu publicznym.

— Jakieś zwierzę mocnej woni przeszło pomiędzy wiatrem a psem twoim pocziwy starcze, rzekł młodzieniec; i to jest przyczyną jego niespokojności, albo może marzy także. Ja w Kentucky miałem gończego, który zerwawszy się ze snu głębokiego zaczął gonić, a to wszystko na wiarę ja-



kiegoś marzenia. Zawołaj tego psa i pokręć go za ucho, ażebyś się przeświadczył, azali prawdziwie jest rozbudzony.

— Nie, nie, odpowiedział starzec potrząsając głową, z twarzą człowieka, który lepiej znał psa swojego: młodość może zasypiać, tak jest, i marzyć także, ale starość jest czujna i zawsze ma się na ostrożności. Powonienie Hektora nigdy go nie omyliło, a długie doświadczenie nauczyło mię nie pogardzać jego przestrogi.

— Czyś go kiedy wypuszczał na wiatr jakiego ścierwa?

— Wyznaję, iż mię nie raz brała pokusa, ażeby przydybać tam zwierzęta dra pieżne, które równie łakome są jak człowiek na zwierzynę: ale nie, wiedziałem, że się Hektor na tém nie omyli: albowiem nigdy on się nie puści fałszywym tropem, mając przed sobą dobry.

— Do licha! zgadłem teraz: musiałeś go napędzać na trop wilczy, a jego nos

więcej ma pamięci od pana, rzekł pszczeni-  
nik z uśmiechem.

— Widziałem jak poczciwe psisko sy-  
piało po całych godzinach, wtenczas, kiedy  
wilków seciny w pobliżu przechodziły.  
Wilk może przyśdź i jeśdź z nim razem  
w jednej misie, wtenczas, kiedy on ani  
mruknie, tylko rozumie się, żeby nie był  
głodny: w tym przypadku bowiem Hektor  
potrafi bronić praw swoich, tak dobrze, jak  
i kto drugi.

— Są to pantery, które z gór się spu-  
ściły, widziałem z nich jedną, jak się rzu-  
ciła na chorego daniela, w chwili, kiedy  
słońce zachodziło. Wierzaj mi, idź tylko  
do twojego psa, i wytłumacz mu co to  
znaczy: w minucie ja.... Przerwało jemu  
wycie psa długie i żałośliwe, rzekłbyś jęki  
jakiegoś ducha miejscowego; a głosy pod-  
nosiły się i zniżały, jak fale powiewnej  
powierzchni stepowej. Starzec bez ruchu  
na swoim miejscu, w głębokim milcze-

niu, słuchał z całą uwagą. Młody pszczeni-  
nik, pomimo niedbanie o nic, został ude-  
rzony tém przeciągłym wyciem, w którym  
coś dzikiego i wieszczego zarazem zdawało  
się zawierać. Po krótkiej zwłóce, starzec  
gwiznął wołając psa ku sobie, a wtenczas  
obracając się ku swoim towarzyszom, rzekł  
z powagą, jakiej zdawała się wymagać o-  
koliczność: — Ci, którzy mniemają, że  
człowiek łączy w sobie całą pojętność stwo-  
rzeń Bozkich, bardzo się mylą, i wyjdą  
z tego błędu prędzej lub później, jeżeli  
dośćigną równie jak ja ośmdziesiątego roku.  
Nie mogę zgadnąć, jakie niebezpieczeństwo  
nam zagraża, ani zapewniać, ażeby pies  
sam mógł wiedzieć o tém; ale to jest rzecz  
niezawodna, że jesteśmy w jakimś nie-  
bezpieczeństwie: że to niebezpieczeństwo  
jest blizkie, i że rostopność unikać nam  
go nakazuje, oto czegom się nauczył od  
stworzenia, które nie kłamie nigdy. Mnie-  
małem z początku, że Hektor nie jest przy-

zwyczajony do słyszenia i rozpoznawania kroków ludzkich, i że z tej przyczyny pochodziła jego niespokojność; ale w oddaleniu wietrzył coś przez cały wieczór, i to, co ja niebacznie wziąłem za przepowiednię twojego przybycia, zwiastowało coś większej wagi. Przetoż, moje dzieci, jeżeli co wazycie rady starca, rozłączcie się natychmiast i powróćcie, każde do miejsca, gdzie może znaleźć przytułek i ochronę.

— Jeżeli ja opuszczę Helenę w podobnej chwili, ozwał się młodzieniec, bogdajby nigdy....

— Dostyc już tego, zawoła Helena, zasłaniając mu usta ręką, której białosc i delikatność zwróciłyby na siebie uwagę w najświetniejszym salonie; czas nagli, ja nie mam ani jednej chwili dla siebie: trzeba, żebyśmy się rozstali cóżkolwiek wyniknie. Bądź zdrów Pawle! — Mój ojciec bądź zdrów!

— Cicho! zawołał młodzieniec, pory-

wając ją za ramie tejże chwili, kiedy się oddalała. — Milczeć! czy nie nie słyszycie? Bawoły robią tu rozruch nie daleko! tak jest, to jakaś trzoda rozdąsana, która leci w nieładzie.

Towarzysze jego nadstawili ucha, jak dwie osoby, których wszystkie władze są zebrane i skupione w jedno miejsce, dla odkrycia przyczyny, wątpliwego i oddalonego łoskotu, tém bardziej przerażającego, iż go poprzedziło tyle przestrog znaczących. Odgłosy, chociaż jeszcze słabe, dawały się już słyszeć wyraźnie. Młodzieniec i jego towarzyszka, naprędce robili uwagi swoje nad tém, co by to być mogło? kiedy powiew wiatru przyniósł aż do ich uszu odgłos kroków uderzających ziemię, w sposób dosyć wyraźny, ażeby się można było mylić.

— Zgadłem, rzekł pszczelnik; jest to trzoda, którą pantera żenie przed sobą, albo może zaszła jakaś bitwa pomiędzy zwierzętami.

— Twoje uszy oszukują ciebie, odpo-

wiedział starzec, który od chwili, jak tylko organa jego schwycić mogły łoskot oddalony, podobny posagowi, bez ruchu zostawał; odgłosy są nazbyt przedłużone, ażeby miały od bawołów pochodzić, i zbyt foremne na zwierzęta, któreby w przerażeniu i nieładzie uciekały. Słuchajcie! oto w parowie, gdzie zielsko jest wysokie i łoskot przytłumiony. Ah! już na grunt twardy wychodzą. Ciszej wstępują na wyniosłość i prosto ku nam zmierzają. Będą tu wprzód, niżbyście mogli znaleźć uchronę!

— Pójdź Heleno, rzekł młodzieniec, biorąc swoją towarzyszkę za rękę, zaprobujmy dostać się do taboru.

— Jest już zapóźno! zapóźno! zawołał wnicznik, albowiem już oto pokazują się przed nami, i to jest zgraja piekielna przeklętych Si-u (1), miarkując z ich postawy

---

(1) Pokolenie dzikich krajowców Ameryki północnej, zwane Si-u, ma jeszcze nazwiska Dahkoutahów i

dzikiej i ze sposobu, jakim się rozproszyli po stepie.

— Si-u, czy szatani, ktoby oni nie byli, obaczą żeśmy mężowie, zawołał pszczelnik, z twarzą tak dumną, jak gdyby przewodził wojsku wyższemu w sile, a równemu w męztwie szeregom nieprzyjacielskim. Masz fuzyą, pocziwy starcze, i zapewne użyjesz jej na obronę młodej dziewicy chrześciaunki i bezbronnej.

— Połóżcie się oboje na ziemi, prędko, w trawie, rzekł starzec głosem cichym, pokazując w bliskości miejsce, na którem trawa gęstsza niż gdzieindziej wyrosła. Nie masz czasu uciekać, a nie jesteśmy tak liczni, żebyśmy mogli walczyć, młody zapaleńcze. Żywo na trawę, jeżeli chcesz ocalić młodą dziewicę, albo jeśli ci własne życie jest miłe!

---

Tetonów, któremi ich autor naprzemiany oznacza: my ostatniego, jako się z łatwością dającego deklinować w języku polskim, najczęściej, wymieniając ten lud dziki, używać będziemy.

Te przełożenia, z wyrazem natarczywym i energicznym uczynione, zrobiły swój skutek, i rad starca wysłuchano z uległością, bez najmniejszego oporu: co grożące niebezpieczeństwo nakazywało koniecznie. Xiężyc skrył się za zasłonę obłoków przejrzystych, które otaczały horyzont; przez nie, światło jego słabe i drżące przechodząc, przedmioty widzialnemi czyniło, rysując ich formy i proporcye. Starzec biorąc nad swojemi towarzyszami ten rodzaj przewagi, jaką umysły odważne i doświadczone wywierają zwykle w razach zrospaczonych, zmusił ich do ukrycia się w trawie: a za pomocą słabego światełka, które rzucał xiężyc przyćmiony, śledził poruszenia tej zgrai bezładnej, która, jakby tłuszcza szatanów rozproszona po równinie, dla obchodzenia na niej swoich biesiad, miotła się na wszystkie strony.

Była to rzeczywiście gromada istot ludzkiego rodu, która się zbliżała z szybkością



prawdziwie przerażająca, i w takim kierunku, iż niewiele zostawało nadziei, ażeby kilku z nich przynajmniej nie dostało się na miejsce, na które się starzec i towarzysze jego schronili. Od czasu do czasu tenten koni przy wiatru wieczornego powiewie, obijał się o ich uszy; w chwilę potem postępowanie gromady wśród gęstego zieliska, tak było lekkie, iż się prawie czuć nie dawało: a wtenczas mniemaćby można było, że to zjawisko nie ziemskiego w sobie nie zawierało. Starzec, który przywołał ku sobie psa swojego, i obok siebie go położył, sam stanął na klęczkach w trawie, a z oka prędkiego i czujnego nie spuszczał Tetonów, wtenczas, kiedy głos jego uspakajał od czasu do czasu młodą dziewicę, i niecierpliwość młodzieńca hamował.

— Więcej jest niż trzydziestu tych niedowiarków, albo nie masz żadnego, rzekł przez zęby. — Dobrze, owoż się oddalają od strony rzeki. — Cicho, Hektorze, wara,

mój chłopcze! — Nuże, oto teraz tedy powracają: rzekłby ktoś, że zbójcy sami nie wiedzą gdzie idą! Gdyby nas sześciu przynajmniej było, mój młody przyjacielu, jaką piękną zasadzkę moglibyśmy na nich uczynić, tutaj nawet. Tylkoż proszę, proszę bardzo! rostopności, młoda głowo! Nachyl się niżej, inaczej cię postrzegą. Wreszcie nie wiem, czy mielibyśmy do tego prawo, gdyż oni nam nic złego nie wyrządzili. — Oto zstępują ku rzece. O nie, do licha, wstępują na wzgórze. — Dopiero to właśnie chwila zachowania się tak spokojnego, jak gdyby oddychanie skończywszy swoją powinność, odbiegło ciała.

Zaledwo tych słów domówił, zaraz się ponurzył w trawie, i tak się uciszył, iż zdawało się, że rozdzielenie ducha z ciałem, o którym ostatecznie namienił, rzeczywiście w nim się odbyło: a w tejże samej chwili gromada ludzi konnych, jak wichur około nich przeleciała, z taką szyb-

kością i z tak niewyraźnym odgłosem, jak gdyby to były duchy, które się znagła ukazały. Zaledwo się oddalili, kiedy wnicznik odważył się podnieść swoją głowę w równi z łodygami gęstego zielska, dając znak w tymże samym czasie swoim towarzyszom, ażeby pozostali na jednem miejscu i chowali najściślejsze milczenie.

— Zstępują ze wzgórza od strony taboru, rzekł cichym głosem. — Nie, zatrzymują się na dole, i na radę, jak trzoda się danieli, zgromadzają. Przebóg! powracają znowu, i jeszcześmy się tych zbójców nie pozbyli.

Nanowo ponurzył się w zielsku, a w chwilę potem dzika gromada ukazała się na punkcie najwynioślejszym małego wzgórza, hasając ciągle w nieładzie. Rzeczą stało się wkrótce oczywistą, iż powrócili w zamiarze korzystania z wyniosłości miejsca, dla przypatrzenia się horyzontowi.

Niektórzy posiadali z koni, inni zaczęli

hasać w rozmaitych kierunkach, jak gdyby starając się rozpoznać miejsca. Na szczęście dla trojga przyjaciół, zielsko, w którym oni ukryci byli, nie tylko posługiwało do zasłonięcia ich przed oczyma barbarzyńców, ale wystawiało jeszcze zawadę koniom, niemniej dzikim i niemniej srogim jak ich panowie, do ztratowania ich nogami w susach nagłych i nieforemnych.

Nakoniec jeden Iudyjanin, wejrzenia ponurego, olbrzymiego wzrostu, który z poważnej postawy zdawał się być naczelnikiem, zwołał główniejszych towarzyszków naokoło siebie, i złożyli pomiędzy sobą radę, nie zsiadając z koni. Paweł Hower podnosząc oczy i widząc postawę srogą i groźną tego zastępu, który się co chwila jakąś nową osobą pomnażał, jeszcze bardziej odrażającą, jeżeli to było podobna, niżeli poprzednicze, nie mógł się wstrzymać, i przez poruszenie machinalne, sięgnął ręką do swojej fuzyi, a wydobywa-

jąc ją zpod siebie, zaczął się przyspasabiać do użycia jej za pierwszą zręcznością. Młoda dziewczica, przez poruszenie płci jej właściwej, ukryła w trawie głowę swoją, pozwalając mu iść za popędem jego charakteru burzliwego; lecz starzec roztrośniejszy, rzekł mu do ucha głosem energicznym:

— Szczęknięcie sprężyny ognistej broni, jest tak poufałe tym nędznikom, jak huk trąby żołnierzowi. Połóż fuzyą, połóż fuzyą! mówię: jeżeli na nią się rzuci swoje promienie, zapewne przez tych wcielonych czartów dostrzeżona będzie: oczy ich bowiem tak są przenikliwe, jak najczarniejszego węża. Najmniejsze poruszenie teraz, ani chybi, sprowadzi na nas grad pocisków.

Pszczelnik był w tym posłuszny, iż pozostał nieruchomy i zachowywał milczenie. Ale dosyć było jeszcze jasno, i towarzysza jego mógł się przeświadczyć, miar-

kując ze zmarszczonych brwi i wzroku groźnego młodzieńca, iż gdyby zostali odkryci, zwycięstwo dzikim drogoby kosztowało. Widząc, że rad jego nie słuchano, starzec stosowne opatrzył sposoby, i zdawał się czekać wypadku ze spokojnością i gotowością na wszystko, która go zawsze odznaczała.

Tym czasem Tetonowie (albowiem przeorność starca nie omyliła go, kiedy mianował tę horde dziką,) ukończyli swoją radę i znowu się rozdzielili na jedną i na drugą stronę, jak gdyby czegoś szukając.

— Łotry psa dosłyszeli, rzekł po cichu starzec, a ich uszy bardzo są wyćwiczone, żeby się na odległości pomylić mogli. Ukryj się mój przyjacielu, ukryj się dobrze, głową ku ziemi, jak pies, który zasypia.

— Powstańmy raczej i zaufajmy naszemu męztwu, odpowiedział jego towarzysz niecierpliwy.

Chciał dalej mówić, ale czując rękę,

która ciężko przygniotła jego ramie, odwrócił głowę, podniósł oczy i ujrzał twarz surową i dziką Indyanina, który miał węń oczy wlepione. Pomimo pierwsze wzruszenie zdumiałości, i niekorzystne położenie, młodzieniec nie był skłonny do pozwolenia się uwięzić, bez dania odporu. Prędszy niż błyskawica, za jednym poskokiem już był na nogach, i rzucając się do gardła nieprzyjacielowi, dusił go z taką siłą, iż wkrótceby walkę zakończył: wtém uczuł, iż go starzec ujął w pól ciała, powściągnął jego natarczywość i przyprowadził go do bezwładności, z taką mocą, która nie wiele sile jego ustępowała. Wprzód nim miał czas wyrzucić przyjacielowi swojemu tę pozorną zdradę, dwunastu dzikich już ich otaczało, i wszyscy troje w niewolą oddać się musieli.

---

## R O Z D Z I A Ł IV.

---

Tak jest, widziałem walkę lepiej niż bojanie,  
I w sroższém przerażeniu czułem zmysły stanie.

SZEKSPIR.

**N**IESZCZĘŚLIWY pszczelnik ze swoimi towarzyszami wpadł w ręce ludu, który możnaby bez przesady nazwać Izmaelitami pustyni amerykańskich. Od czasów niepamiętnych Si-u strasznymi byli swoim sąsiadom stepowym, przez swe ustawiczne napady, i dzisiaj nawet, kiedy wpływ i powaga rządu cywilizowanego naokoło nich działać skutecznie zaczyna, uchodzą jeszcze za pokolenie przeniewiercze i niebezpieczne. Ale tém gorzej było jeszcze w epoce



naszej historyi, i bardzo mało znajdowało się białych, co by śmieli zapuszczać się w krainy oddalone, o których wiedziano, że są zamieszkałe przez lud tak przenie-wierczy.

Pomimo spokojną starca uległość, wiedział on dobrze w czyje wpadł ręce; ale najbystrzszemu postrzegaczowi trudnooby było zgadnąć tajemną pobudkę, czy to bo-jaźń, czy polityka, czy na wszelki los go-towość, wpływały na niego, kiedy pozwo-lił bez szemrania, obrać i złupić siebie. Daleki od stawienia zwycięzcom swoim najmniejszego oporu, kiedy sposobem swo-im grubijańskim i gwałtownym zaczęli o-koło niego czynić swoje zwykłe wyszuki-wania, pierwszy był do zaspokojenia ich chciwości, oddając dowodczy przedmioty, o których mniemał, że mu były najprzy-jemniejsze.

Paweł Hower nie okazał tak dobrowol-nej uległości, ustępował tylko przemocy

i zdobywał się na największy opór, kiedy szło o zgodzenie się na grubijańskie wolności, jakich się dopuszczano, odzierając go ze wszystkiego, co miał na sobie. Okazał nawet nie raz oburzenie się swoje w sposób najmniej dwuznaczny, w czasie, kiedy się to niemiłe mu działanie odbywało: i zakończyłby niewątpliwie przez wybuchnięcie i stawienie otwartego acz zrospaczonego uderzenia na wrogów, bez prośb i błagań drżącej Heleny: która ująwszy go za ramię, malowała mu wymownie, przez wyraz swoich oczu, iż jedyłą jej nadzieją była tylko rostopność jego i panowanie, na jakie nad sobą samymi zdobyć się potrafi.

Jak tylko Indyanie wydarli jeńcom orężę i amunicyą, i wzięli im niektóre drobiazgi małego użytku a mniejszej jeszcze wartości, okazali się skłonnymi zostawić ich na chwilę spokojnie. Sprawa wielkiej wagi zdawała się ich zajmować i całe na siebie zwracać baczenie. Dowodczy zebrali się nanowo,

inna rada została złożona, a miarkując z je-  
stów gwałtownych i pełnych wyrazu małej  
tych liczby, którzy przemawiali, rzeczą  
było jawną, iż dalecy byli od uważania zwy-  
cięstwa swojego za zupełne.

— Będziemy mieli porę szczęśliwą, rzekł  
pocichu starzec, który dosyć rozumiał ich  
języka, ażeby pojąć przedmiot naradzania  
się, jeżeli dotąd wędrownicy, którzy się roz-  
łożyli pod wierzbami, nie mają jeszcze  
snu przerwanego przez tych niedowiarków.  
Przebiegli są aż nadto, ażeby mieli wierzyć,  
iżby kobieta białej twarzy mogła się tak da-  
leko od pomieszkań znajdować i jeszcze  
w takiej godzinie, jeżeliby nie było blisko  
niej jakiego miejsca przygotowanego na jej  
uchronę.

— Jesliby chcieli przenieść wędrowną  
gromadę Izmaela aż pod stopy Góry-Opo-  
czystej, rzekł młody pszczelnik, z gorzkim  
uśmiechem, rozumiem, że mógłbym to prze-  
baczyć tym chłystkom.

— Pawle! Pawle! zawołała jego towarzyszka tonem wymówki, zapominasz o wszystkim! pomyśl o srogich następstwach.

— Dobrze! Heleno, właśnie myśląc o tém, co ty nazywasz następstwami, pozwoliłem się spokojnie pojmać temu szatanowi czerwono-skóremu, którego oto tam widzę zamiast rozciągnięcia go na ziemi i wydarcia mu psiego życia. Jestto nieszczemność i hańba, która była twojém dziełem, stary wniczniku, i niech ztąd pochodząca sromota spadnie na ciebie! ale wreszcie ty swoje sprawujesz rzemiosło, chwytając we wniki równie ludzi jak i zwierzęta.

— Zaklinam cię Pawle, uspokój się, pokaz więcej rozsądku.

— Dobrze więc Heleno! ponieważ tego żądasz, powiedział młodzieniec kłapiąc sobie wargi, będę się starał powściągać, cóżkolwiekby to mnie kosztować miało: albowiem powinnaś wiedzieć, że to stanowi część religii każdego poczciwego kentuckie-

go mieszkańca, szamotać się, kiedy mu się co nie podoba.

— Boję się bardzo, ażeby wasi tam przyjaciele nie wpadli w oko tym niegodziwcom: rzekł starzec z taką spokojnością, jak gdyby i słowa nie słyszał z tego wszystkiego, co było mówiono: — czują oni zdobycz zdaleka, a jak tylko raz na trop wpadną, gonią ją z taką zawziętością, jak pies, który się na trop zwierzęcy rzuca.

— Czyż nie można nic poradzić? zapytała Helena tonem błagającym, który prawdziwy interes okazywał.

— Mnie byłoby łatwo, rzekł Paweł, podnieść krzyk tak mocny, iż stary Izmael wzdrygnąłby się wśród swojego spoczynku, i domyśliłby się, że wilcy są w jego trzodzie: mogę się dać usłyszeć na milę odległości wśród tych płaszczyzn otwartych, a jego legowisko ledwo się ztąd o ćwierć mili znajduje.

— I bydz' zamordowanym za te trudy,

dodał starzec: nie, nie, potrzeba chytrość stawić naprzeciw chytrości; inaczej zbójcy wymordują całą rodzinę.

— Wymordować ją! o! nie, byłoby to zawiele. Izmael tak lubi wędrować, iż nie byłoby wielkiego nieszczęścia, gdyby mu pokazano drugi brzeg morza; ale stary chłystek daleki jest od gotowości do tak długiej podróży: ja sam nie pożałuję naboju na obronę wprzód, nimbym się zgodził na jego zagładę.

— Gromada jego jest liczna i dobrze uzbrojona; jakże myślisz, będzie się bronił?

— Posłuchaj, stary wniczniku! mało jest ludzi, którzyby tak serdecznie, jak ja nienawidzili Izmaela i tego plemienia synów, niezgrabniejszych jeden od drugiego; ale Paweł Hower brzydzi się obmową. Dowiedz się zatem, że u nich więcej jest prawdziwego męstwa, niż w każdej rodzinie, która kiedykolwiek wyszła z Kentucky, i że nie trzeba być bezrękim, ażeby go o ziemię powalić.

— Ciszej! dzicy zakończyli swoje obrady, teraz do spełnienia tego, co ułożyli, przystępują. Cierpliwości, rzeczy jeszcze pożyteczny obrot wziąć mogą dla waszych przyjaciół.

— Moi przyjaciele! nie dawaj takiego nazwiska żadnemu z tej rodziny, jeżeli cokolwiek dbasz o mój szacunek. To, com na ich korzyść wyrzekł, z uczucia przyjaźni ku nim nie wynika bynajmniej: sprawiedliwość im tylko oddaję.

— Rozumiałem, że młoda dziewczica do nich należała, odpowiedział starzec z ośchłością: jeżeli się mylę, gniewać się nie masz o co; zamiar tylko obrazić zdoła.

Dwa palce Heleny znowu zamurowały usta Pawła, i sama wzięła na siebie odpowiedź, co wykonała głosem swoim słodkim i pojednawczym: — Powinnismy wszyscy składać jedną rodzinę, kiedy jest w naszej mocy wzajemne sobie usługi wyrządzać. Całkowicie zdajemy się na twoje doświadczenie,

poczciwy starcze, ażeby znaleźć jakikolwiek sposób uwiadomienia naszych przyjaciół o niebezpieczeństwie, na które są wystawieni.

— Przyda się on przynajmniej na cokolwiek, rzekł pszczelnik przez zęby, jeżeli chłopaki gotowi będą do trzepania tych czerwono-skórców, jak potrzeba.

Poruszenie powszechne, jakie powstało wtenczas pomiędzy dzikimi, przeszkodziło mu dalej rzecz prowadzić. Indianie posiadali z koni, i powierzyli je trzem czy czterem z pomiędzy siebie, którym także i straż brańców poruczona była. Otoczyli wtenczas wojownika, który zdawał się mieć władzę naczelną; a na dane hasło oddalili się od swojego szrodka, krokami powolnemi i mierzonemi w liniach prostych, a tém samém prowadzących w przeciwne strony: wkrótce część większa tej gromady pomieszała się z trawą stepową. Tylko jeńcy, którzy oczyskwalniwie prowadzili za najmniejszym poruszeniem swoich nieprzy-



jaciół, postrzegali od czasu do czasu postać ludzką malującą się na tle horyzontu, zapewne któregoś Indyanina podnoszącego się w całej swojej wysokości, ażeby dalej sięgnąć okiem; ale te ukazywania się przemijające i chwilowe, wkrótce zupełnie ustały, a niepewność jeszcze więcej bojaźni przyczyniła.

Tak upłynęło wiele powolnych i przykrych minut: zdawało się jeńcom, że słyszeli krzyki natarcia wydawane przez oblegających, i krzyki rozpaczony obłożonych. Ale się okazało, że ich poszukiwania, odbywane z taką czynnością były bezowocne: albowiem w końcu pół godziny Indyanie jeden po drugim powracać zaczęli, z twarzą posępną i zasmuconą, jak ludzie, którzy się w nadziejach swoich omyłonymi ujrzeli.

— Teraz na nas kolej, rzekł starzec, który zawsze baczny, umiał rozpoznać za najmniejszą oznaką zamiary dzikich: badać nas będą, i jeżeli nie jestem w błędzie, względem naszego położenia, muiemam być

rzeczą mądrą, poruczyć jednemu zpomie-  
dzy nas odpowiadanie, dla uniknienia sprze-  
czności w zeznaniach: a co większa, jeżeli  
zdanie osmdziesiątletniego starca zasłu-  
guje na to, ażeby na nie wzgląd jakowy miano,  
śmiałybym powiedzieć, że ten człowiek powi-  
nien znać zgruntu charakter Indyan i mieć  
także jakieś o ich języku wyobrażenie. —  
Młodzieńcze, czy posiadasz język Tetonów?

— Dystylluj swój miód, jak ci się po-  
doba, zawołał pszczelnik, którego zły hu-  
mor był zawsze jednostajny: do perorowa-  
nia jako tako, ale z resztą jesteś do niczego.

— Młodość jest nierostropna i zarozu-  
miała, odpowiedział starzec spokojnie. Był  
taki czas młodzieńcze, w którym moja  
krew nazbyt była żywa i nazbyt gorąca, i  
spokojnie w żyłach płynąć nie mogła. Ale  
po co mówić o niebezpieczeństwach, na  
które się narażało, o śmiałych przedsię-  
wzięciach, w tej epoce życia? chępliwie  
słowa, nie przystoją siwej brodzie, i wię-

cej cokolwiek znajdować się powinno mózgu w łysej głowie.

— Cicho! cicho! rzekła przytłumionym głosem Helena: nie mówmy więcej o tém wszystkiém: idzie tu zupełnie o co innego. Oto Indyanin, który przybywa rozpocząć swoje badania.

Młoda dziewczica nie omyliła się bynajmniej. Mówiła jeszcze, kiedy dziki, nagi do połowy, wzrostu wysokiego, przybliżył się do miejsca, na którym oni byli, i przypatrzwszy się im, jednemu po drugim, zmierzywszy ich od stop do głowy, z taką baczością, jakiej słabe xiężycyca promienie dozwalały, powitał ich głosem chrapliwym i gardlanym. Starzec odpowiedział mu, jak mógł najlepiej i w sposób taki, ażeby się dać zrozumieć. Zebyśmy się nie wystawili na zarzut pedantyzmu, oddamy w naszym języku treść, i o tyle, ile można, kształt rozmowy, która się pomiędzy nimi zawiązała.

— Czy Twarze-Białe już wyjadły swoje bawoły, i zabrały wszystkie skóry bobrowe, kiedy przychodzą liczyć wiele się ich znajduje u Pawnijczyków? rzekł dziki, zostawiwszy dla przyzwoitości, chwilę przerwy pomiędzy wyrazami pozdrowienia, które do nich zwrócił przybywając, a temi które powiedział teraz.

— Niektórzy z pomiędzy nas tutaj są w celu kupowania, drudzy zaś w zamiarze sprzedaży, odpowiedział starzec; ale żaden się dalej nie pomknie, jeżeli się dowie, że jest niebezpieczną rzeczą zbliżyć się do chałupy któregokolwiek Tetona.

— Tetonowie są rozbojnicy i mieszkają w pośród śniegów. Po co mówisz o narodzie, który tak jest odległy, kiedy jesteśmy w kraju Pawnijczyków?

— Jeżeli Pawnijczycy są właścicielami tej ziemi, wtenczas Biali i Czerwoni, jednostajnie do niej mają prawo.

— Czy Twarze-Białe nie dosyć jeszcze

wydarły Czerwonym, bez tego, żebyście przychodzili jeszcze przynosząc tu kłamstwo? Ja powiadam, że ta ziemia należy do mojego pokolenia, i że ono tylko ma prawo polować na niej.

— Moje prawo przebywania tutaj jest równe twojemu, odpowiedział starzec z krwią zimną i bez zmieszania; nie tłumaczę się w ten, w jakibym mógł sposób, — lepiej jest milczeć. Pawnijczykowie i Biali, są bracia, ale żaden Si-u, nie śmie ukazać twarzy swojej w kraju Wilków.

Dahkotahowie są mężami, zawołał dumnie dziki: gniew to sprawił, iż zapomniał utrzymać swojej roli, wtenczas, kiedy przybierał nazwisko, z którego się naród jego najbardziej pyszni. Dahkotahowie nie się nie lękają! odpowiadaj, odpowiadaj, jaki powód przyprowadza cię tak daleko od siedzisk Twarzy-Białych?

— Jam się znajdował na wielu radach i przy wschodzie i przy zachodzie słońca,

i tylko mowę mędrców słyshałem. Niech wasi naczelnicy przydą, a usta moje nie będą zawarte.

— Ja jestem wielkim naczelnikiem, rzekł dziki z udaną obrażonej godności twarzą. Bierzeszże mię za Assiniboana (1) Wencha jest wojownikiem, którego imię często bywa wspomianane, a którego słowo zaufanie wraża.

— Albożem ślepy, ażeby nie poznał Tętona ze zgorzałego lasu, rzekł starzec głosem śmiałym, co wiele czyniło zaszczytu jego krwi zimnej. Daj pokój, ciemno jest, i nie widzisz, że mam siwe włosy.

Indyanin wtenczas zdawał się nabierać przekonania, iż bardzo grubego użył podstępny dla oszukania starca tak bystrego, jak ten, z którym miał do czynienia; łamał więc głowę nad tém, jak ma postąpić, ażeby mógł trafić do swoich celów, kiedy lekkie poruszenie, które się zrobiło w gromadzie,

---

(1) Pokolenie indyjskie.

wywróciło wszystkie jego przedsięwzięcia. Rzucił oczy poza siebie, jak gdyby się lękał, żeby mu nieprzeszkadzono, i rzekł tonem nie tak dumnym jak pierwej.

— Niech Wencha odbierze mleko *Długich-Nożów*, a będzie opiewał imię twoje uszom wszystkich ludzi swojego pokolenia.

— Oddał się, rzekł starzec z twarzą pogardliwą, dając mu stosowny znak ręką. Wasi młodzieńcy mówią o Mahtorym, — moje słowa są dla uszu naczelnika.

Dziki rzucił na starca wzrokiem, który pomimo ciemności jasno dosyć nienawiść nieprzeblaganą tłumaczył. Cofnął się natychmiast i wmieszał się pomiędzy swoich towarzyszków zawstydzony niepowodzeniem swojego udawania, i lękając się, ażeby nieodkryto jego zdrady, którą wymyślił dla przywłaszczenia sobie części zdobyczy, ze szkodą naczelnika wymienionego przez starca, o którego zbliżaniu się zmiarkował po sposobie, jakim imię jego z ust do ust

przechodziło. Ledwo zniknął, kiedy wojownik postaci poważnej przystąpił do jeńców i przed nimi się zatrzymał. Miał ten chód poważny i dumny, który odznacza zawsze naczelnika indyjskiego. Cały orszak postępował za nim i w okrąg stanął około niego, w głębokim i pełnym uszanowania milczeniu.

— Ziemia jest rozległa, rzekł dowódca, pomilczawszy nieco, z tém dostojnym obliczem, które nędzna kopija jego starała się przybrać daremnie, dla czego dzieci białych nie mogą znaleźć miejsca na swojej przestrzeni?

— Niektórzy z nich słyszeli, że ich przyjaciele stepowi mieli potrzebę wielu rzeczy, odpowiedział starzec, i przybyli dowiedzieć się, azali prawdę im doniesiono. Inni znowu, ze swojej strony, potrzebują tego, co ludzie czerwoni mają do zbycia; przybyli zatem ofiarować przyjaciołom swoim proch i przykrycia.



— Azali kupcy przebywają Wielką-Rzekę z próżnemi rękami?

— Nasze ręce są próżne, albowiem wasi młodzieńcy rozumiejąc, żeśmy byli utrudzeni, ulżyli nam naszego ciężaru; omylili się na tém, jestem stary, ale jestem silny.

— Niepodobieństwo! miałyżby wasze ciężary pozostać na stepie? ukażcie tylko miejsce mojej młodzieży, w celu, ażeby mogła je sprzątnąć, wprzód niż je Pawnijczykowie znajdą.

— Wielceby krążyć potrzeba, ażeby się tam dostać, a noc jest teraz. Czas myśleć o spoczynku, mówił dalej starzec, z doskonałą spokojnością. Posłój swoich wojowników oto na tamtą wyniosłość, znajdą tam wodę i drzewo; niech rozniecą ogień i niechaj się kładą z ciepłemi nogami, jak słońce zabłyśnie, pomówię z tobą.

Szemranie przytłumione, ale dosyć wyraźne, tłumacząc głęboką niechęć, przebiegało szeregi dzikich, którzy słuchali z u-

wagą, i dało poznać starcowi, że się za-  
nadto naraził, podając sposób, który nie-  
miał innego celu, jak tylko uwiadomienie  
wędrowników koczujących pod wierzbami  
o zbliżeniu się sąsiadów tak niebezpiecznych.  
Ale Mahtoree nieokazując najmniejszego  
wzruszenia, niezdając się żadnego mieć u-  
działu w powszechném oburzeniu się, któ-  
re towarzysze jego tak jawnie okazali, cią-  
gnął dalej rozmowę z tonem dostojnym, jaki  
aż dotychczas zachowywał.

— Ja wiem, że mój przyjaciel jest bo-  
gaty, rzekł, że niedaleko stąd ma wielu  
wojowników i że więcej koni, niżeli Czer-  
wone-Skóry psów posiada.

— Widzisz moich wojowników i moje  
konie.

— Jako! alboż młoda kobieta ma nogi  
Dahkotańskie, ażeby mogła trzydzieści dni  
iść przez stepy, i nie upaść na siłach,  
wiem, że leśni czerwoni ludzie, długie pie-  
szo odbywają podróże; lecz my, którzy

przebywamy tam, gdzie oko, od jednego do drugiego pomieszkania, doścignąć nie może, lubimy nasze konie.

Po tej uwadze starzec zamyslił się ze swojej strony. Wiedział dobrze, iż ukrywając prawdę, narażał się na największe niebezpieczeństwo, w razie, gdyby podstęp odkryty został: z drugiej strony, była to rola, której się charakter jego, pełen szczerości wzdrygał; ale zastanawiając się, iż tu nie chodziło o jego tylko jednego, i że miał towarzyszków, których życie również było narażone, postanowił w jednej minucie właściwy bieg rzeczom zostawić i pozwolić naczelnikowi Tetonów oszukiwać się samemu, jeżeli chciał tego. Odpowiedź jego zatem była dwuznaczna.

— Niewiasty Tetonów i ludzi białych nie są z jednego wigwamu. Wojownik tetonński chciałżeby wynieść swoją żonę nad samego siebie? wiem, że tegoby nie uczynił: a jednakże na moje uszy słyszałem,

że są kraje, w których niewiasty składają rady.

Lekkie wzruszenie, które się znowu dało postrzedz pomiędzy dzikimi, uwiadomiło starca, że jeżeli jego oświadczenie nie wzbudzało nieufności, zrządało przynajmniej jakieś zadziwienie. Naczelnik sam pozostał niewzruszony, i statecznie całą swoją godność zachowywał.

— Moi ojcowie biali, którzy mieszkają przy wielkich jeziorach, rzekł do starca, oświadczyli, iż ich bracia od strony słonecznego wschodu nie są mężami, i przekonuję się teraz, że w tém nie było oszukania. — Lecz co po narodzie, którego naczelnikiem jest niewiasta? jesteś więc psem a nie mężem takiej kobiety?

— Nie jestem ani jednym, ani drugim. Nigdy przed dzisiejszym dniem osoby jej nie oglądał. Ona na stepy przybyła, gdyż powiedziano jej, że się na nich znajduje lud wielki i szlachetny, nazwany Dahko-

tabami, i że chciała oglądać mężów. Kobiety białych, równie jak kobiety Tetouów, otwierają swoje oczy dla widzenia rzeczy nowych; lecz ona równie jak i ja, jest uboga: a jakimże sposobem będzie mogła wystarać się sobie zboża i bawołów, jeżeli jej zabieracie, równie jak i jej przyjacielowi, tę trochę, która im pozostaje?

— Teraz uszy moje obmierzłe kłamstwa słyszą! zawołał wojownik tetoński, głosem tak straszliwym, że Indyanie, którzy go otaczali, sami na to zadrżeli. Jestem niewiastą! odpowiadajmyśliwczom białym: jacy są ludzie waszej barwy, którzy śpią pod wierzbami?

Domawiając tych słów, naczelnik rozjątrzony skinął ręką w stronę koczowiska Izmaelowego, a starzec nie mógł powątpiwać, iż zręczniejszy i przebieglejszy od swoich towarzyszków, sam naczelnik musiał odkryć to, co się ich wyszukiwaniu wymknęło. Pomimo żal, jakiego doznawał z odkrycia, którego następstwa mogły się

stać nieszczęśliwemi dla wędrowców uspio-  
nych, i przekorę tajemną, od której uczu-  
cia nie mógł się obronić, iż go zwyciężono  
w bystrości i przenikłości, pomimo niepo-  
wodzenie doznane w rozmowie, którąśmy  
tylko co słyszeli, starzec wszakże zacho-  
wał całą krew zimną, bynajmniej się nie-  
mieszając.

— Może to być, iż się znajdują biali, któ-  
rzy odpoczywają na stepie: ponieważ brat  
mój to mówi, tak być musi; ale cóżby to  
mieli być za ludzie, którzy w ten sposób  
spuszczają się na wspaniałomyślność Teto-  
nów? Czego ja odgadnąć nie potrafię. Je-  
żeli się tam znajdują wędrownicy uspieni,  
posłój swoich ludzi, niechaj ich rozbudzą,  
i niechaj się zapytają, co tu oni robią?  
biali mają języki.

Naczelnik potrząsł głową z uśmiechem  
dumnym i wzgardliwym, potem się od-  
wracając, dla położenia końca tej rozmo-  
wie, zawołał nagle.

— Dakotahowie są ludem mądrym a Mahtoree jest ich dowodzącą. Nie zawoła on głośno na cudzoziemców, ażeby ci rozbudziwszy się odpowiedzieli mu karabinami. Mówić do nich będzie po cichu na ucho, wtenczas, kiedy ludzie ich barwy chcą ich rozbudzać. Zaledwo tych słów domówił, natychmiast się oddalił otoczony dzikimi, którzy okazywali, że im się to podobało, śmiechami wyrażnemi, chociaż hamowanemi przez uszanowanie. Zatrzymał się w niewielkiej od jeńców odległości: a ci, którym się godziło wyjawić zdanie swoje w obec tak wielkiego wojownika, dla naradzenia się nanowo około niego stanęli. Wencha korzystał z tej zręczności, ażeby nanowo rozpocząć swoje natręstwa; ale starzec, który już dobrze wiedział teraz, że to jest niegodziwiec pospolity, odparł jego przystępy ze wzgardą. Ale co rzeczywiście położyło koniec naprzykrzaniu się zdrajcy dzikiego, to był rozkaz wydany całej

gromadzie, ludziom i koniom do zmienienia stanowiska. Poruszenie to odbyło się w największej cichości, i w porządku, któryby najlepiej ćwiczonemu batalionowi przyniósł zaletę. Kiedy się zatrzymano, a jeńcy mieli czas rozpoznać, gdzie się znajdowali, postrzegli, iż byli niedaleko lasku, przy którym koczował Izmael.

Odbyła się jeszcze nowa rada bardzo krótka, ale ważna i pełna głębokiego namysłu.

Konie, które zdawały się bydz przywykłe do tych wycieczek tajemnych i cichych, były nanowo powierzone strażnikom, którym także jak i pierwej czuwać nad więźniami poruczono. Starzec, którego się niespokojność co chwila pomnażała, kiedy ujrzał, że Wencha był mu dany za przystawa, i który, jak miarkować można było po tryumfalnej i poważnej jego twarzy, dowodził także oddziałem. Atoli ten dziki, który zapewne miał sobie dane przepisy, prze-



stawał tylko na wywijaniu swoim toporem, z wyrazistemi -jestami, poglądając na Helenę. Po tej wymownej przestrodze, danej dwóm jeńcom, względem losu, jaki czekał ich towarzyszkę, za najniższym hasłem trwogi, któraby się uszpionym dadź odważyli, zawarł się w ścisłym milczeniu: a korzystając z tej spokojności, której spodziewać się ze strony Wenchy dalecy byli, jeńcy mogli zwrócić całą swoją uwagę na to, co z widowiska będącego przed ich oczyma dostrzedz można było.

Wszystkie rozporządzenia Mahtoree zrobił osobiście. Wskazał sam dokładnie stanowiska, które każdy zajmować był powinien, jako człowiek znający dostatecznie przymioty każdemu właściwie służące: usłuchano go natychmiast z tém uszanowaniem, jakie Indyanie okazują zawsze na rozkazy swoich dowódców w stanowczych chwilach. Rozporządził jednych na prawo, drugich na lewo. Skoro tylko dał

znak, wymieniony człowiek dążył krokiem śpiesznym, ale jak najciszej, i wkrótce każdy był na swoim stanowisku, wyjąwszy dwóch wojowników, którzy przy osobie swojego dowódcy pozostali. Jak tylko znalazł się sam jeden z towarzyszami swojego wyboru, Mahtoree obrócił się ku nim, i oświadczył im, iż przyszedł moment stanowczy przyprowadzenia do skutku planu wspólnie ułożonego.

Zaczęli wszyscy trzej od położenia małych fuzyjek myśliwskich, które pod imieniem karabina nosili na oznaczenie swojej dostojności; potem pozbywając się wszystkich części swojego ubioru, któryby mógł im zawadzać, pozostali chwilę nieruchomi, podobni do tych posągów starożytnych, które dawnych bohaterów wyobrażają. Mahtoree zapewnił się, że topór jego był na swoim miejscu, że nóż dobrze się trzymał w pochwie skórzanej, scisnął swoje przepaskę i poprawił podwiązek obuwia, przy-

ozdobionych frenzlą, które mogłyby chód jego mitrężyć. Po zrobieniu tych wszystkich rozporządzeń, naczelnik tetoński, gotowy do przedsięwzięcia wszystkiego, dał hasło do ruszenia.

Trzej wojownicy udali się ku obozowi wędrowców, w zamiarze wzięcia go z boku. Zaledwo jeńcy mogli ich jeszcze dostrzedz, kiedy się ci zatrzymali, i obejrzeni się około siebie, jak ludzie, którzy się namyślają, i którzy dojrzałe przewidują następstwa pierwój, nim co przedsięwezmą stanowczo. Potém zapuściwszy się razem wśród stepowego zielska, zupełnie zginęli im z oczu.

Nie trudno jest wyobrazić sobie udręczenia okropne, z jakimi Helena i towarzysze jej te rozmaite poruszenia uważali.

Jakieźkolwiek ta młoda dziewczica mogła mieć powody nieprzywiązywania się bardzo do rodziny, wśród której czytelnicy najpierwój ją widzieli; czułość płci jej wro-

dzona, a może uczucie dobroliwości, wpływało dzielnie na jej serce. Niejednokrotnie gotowa była pogardzić niebezpieczeństwem okropnym i bezpośrednim, które jej zagrażało, i podnieść głos swój słaby, jak ożkolwiek był nieudolny dla dania hasła trwogi. Ciągniona popędem równie dzielnym jak naturalnym, rzeczą jest podobną do wiary, iżby na ustąpieniu mu zakończyła, bez przestroóg niemych ale energicznych Pawła Howera.

Młody pszczelnik sam był najsprzeczniejszemi uczuciami miotany: z których najżywsze i najpotężniejsze było to, jakie mu wrażało niebezpieczne położenia młodej osoby, zostającej pod jego obroną; ale do tego udręczenia, rozdzierającego serce, łączył się interes głęboki, któremu się on wzbronić nie mógł, patrząc na ten widok, który dla jego serca gorącego i dzikiego nie był bez uroku. Chociaż uczucia, jakie dał poznać względem emigrantów, nie były

dwuznaczne, i chociaż dalekim był od zostawania dla nich tak przynajmniej przyjaznym jak Helena; niecierpliwie atoli czekał, póki usłyszy huk ich wystrzałów, i gdyby tylko podało się zdarzenie, pierwszyby leciał im na posilek. Sam on doznawał żądz, której się ledwo zdołał opierać, wyprawienia się na przód i rozbudzenia niebaczących wędrowników; ale rzut oka, zwrócony na Helenę, wystarczał do przywołania całej rostopności, która go opuszczała, dając mu przypomnieć, że lekkomyślności jego ona ofiarą zostanie.

Starzec sam tylko spokojny był na pozor, zapatrując się na wszystko tak zimno jak gdyby żadnego nie przywiązywał do tego interesu, jaki obrot wezmą rzeczy. Wzrok jego czujny zdawał się być wszędzie. Był to wzrok człowieka nadto przyzwyczajonego do scen niebezpiecznych, a żeby się mógł łatwo dać powodować wzruszeniu, i który myślał tylko o tém, żeby czujność strażników swoich oszukać.

Tymczasem wojownicy tetońscy nie zostawali bezczynni. Za pomocą bujnej trawy, natłoczonej w wąwozach, utorowali sobie drogę przez ten gęsty pokład, jak węże zdradliwe, które się czołganiem pomykają ku swojej zdobyczy, aż póki przybyli do punktu, na którym podwoić należało baczenie przed pomknięciem się dalej. Sam tylko Mahtoree od czasu do czasu wznosił ponad zielska swoją postać okazałą, dla przeniknięcia swoim bystrym wzrokiem wśród ciemności, jaka panowała wzdłuż małego lasku. Postrzeżenia jego szybkie, połączone z tém, które już za pierwszą swoją wycieczką uczynił, dostateczne mu były dla rozpoznania położenia tych, którzy się mieli stać jego ofiarami: chociaż nie wiedział jeszcze, ani o ich liczbie, ani o sposobach obrony, które mieć mogli.

Usiłowania jego, ażeby jakiegokolwiek wiadomości pod tym istotnym względem zasięgnąć, były całkowicie nieużyteczne: al-

bowiem tabor w najgłębszém milczeniu był pogrążony: rzekłbyś, że to jest okrag, w którym sami tylko umarli przebywają. Nazbyt nieufny, oraz baczny, nie mógł się na nikogo, prócz samego siebie spuścić, w rzeczy tak wielkiej wagi; zalecił przeto swoim towarzyszóm, ażeby nań zczekali na swoich miejscach, a sam jeden odbywał dalej swoją podróż. Mahtoree posuwał się krokiem powolnym, i sposobem takim, który dla człowieka mniej wpraw nego, mógłby się stać niezmiernie trudnym. Najzręczniejszy płaz nie mógłby się czołgać z większą zwinnością i ciszej. Przysiadłszy ku ziemi, posuwał na przód jedną nogę a za nią drugą, zatrzymując się za każdym poruszeniem, dla schwycenia najbliższego szmeru, któryby mógł dać wiedzieć, że wędrownicy mają się na baczności. Takim się sposobem przyczółgał aż pod cień gaju, gdzie go słabe xiężycyca promienie nie oświecały: tym sposobem

mniej był narażony na danie się postrzedz, kiedy w tym samym czasie, przedmioty go otaczające, ukazywały się w sposób wyraźniejszy jego przenikliwemu wzrokowi.

Mahtoree zatrzymał się przez czas długi w tém miejscu, dla czynienia swoich postrzeżeń pierwój, niżby się dalej posunął. Położenie jego ukazywało mu koczowisko z boku, z jego namiotem, wozami i safaszami; blask ponury, lecz dostateczny, wszystkich przedmiotów obwody rysował, a wprawne wojownika oko dosyć oceniło dostatecznie siłę gromady, z którą zabierał się mieć do czynienia. Milczenie zbyt głębokie, które koniecznie za naturalne wziąć potrzeba było, panowało w obozowym obwodzie: rzekłbys, że ludzie zatrzymali nawet ten oddech spokojny, który się w czasie snu obwieszcza, dla natchnienia większego w swoich nieprzyjaciół zaufania. Naczelnik nachylił głowę swoją ku ziemi i uważnie słuchał. Podniósł ją, — nic więcej



w dowiedzeniu się nie postąpiwszy, kiedy odgłos oddechu drżącego i przedłużonego, któregoś z uśpionych, obił się o jego uszy. wyraźnie. Indianin znał bardzo dobrze wszystkie wybiegi i podstępny wojenne, a żeby się dać pochwycić w sidła, któreby nań chciano zastawić: słucał nanowo, a zapewniwszy się, że odgłos był naturalny, nie wahał się więcej.

Człowiek mniej doświadczonego męztwa, jak odważny Mahtoree, byłby się wahał na widok niebezpieczeństwa, na które się on chętnie narażał. Nie pierwsi to już byli awanturnicy barwy białej, którzy się zapuścili w pustynie, przez naród jego zamieszkałe: ich odwaga, ich siła, dobrze mu były znajome; jednakże nie odstąpił on swojego przedsięwzięcia, wykonywając go z rostopnością i z baczeniem, jakie się zawsze w dzielnym nieprzyjacielu postrze- gać daje: ale razem ze mściwą zawzięto- ścią człowieka koloru czerwonego, obu-

rzającego się na nieprawe najście cudzoziemców.

Zwracając się z linii, którą zrazu postępował Mahtorec, zawsze ponurzony w trawie, skierował się ku brzegowi lasu. Za przybyciem tam powstał i z większą się jeszcze troskliwością miejscu przypatrzył. Chwili mu tylko było potrzeba, ażeby rozpoznać miejsce, na którym się bezpiecznie wędrownicy rozłożyli. Czytelnik zgadł zapewne, że ten, który nie wiedząc iż sam nawet znajdował się w tak niebezpiecznym sąsiedztwie, był jednym z opieszających synów Izmaela, któremu straż obozu poruczono.

Skoro się tylko zapewnił, iż go nie odkryto, Dahkota zbliżył się ku śpiącemu, nachylił się ponad nim, i wtenczas, kiedy jego twarz ruchawa latała w niejaki sposób około nieprzyjacielskiej, żeby się jej pod wszystkimi względami przypatrzeć: rzekłby ktoś, że to była jedna z tych ga-

dzin, które często się wspinając, podnoszą i około swoich ofiar igrają. Uradowany z tego odkrycia Mahtoree, odwracał swoją głowę, wtem młody emigrant zrobił poruszenie, jak gdyby się miał przebudzić. Dziki porwał za nóż, który wisiał u jego pasa, i w chwili przyłożył go do piersi emigrantowi: potem zmieniając zamysł, cofnął się krokiem, równie jak myśl szybkim, przysiadł za kłodą, o którą śpiący się opierał, i w jej cieniu pozostał rozciągniony, bez ruchu i jakby pozbawiony uczucia, nakształt drzewa samego.

Młodzieniec, który był na straży, otworzył swoje ociężałe oczy, spójrzał na niebo, i zdobywając się na usilność nadzwyczajną, podniósł swoją ciężką masę dla rzucenia okiem naokoło siebie. Jego wzrok niepewny, z niejakimśiś rodzajem czuwania, przebiegł wszystkie części koczowiska, potem się zgubił w niezmierności stepu, rozciągającego się aż do końca horyzontu. Nie

widząc nic, coby trwogi jego mogło usprawiedliwić, zmienił położenie swoje w ten sposób, iż się zupełnie odwrócił tyłem do swojego niebezpiecznego sąsiada, potem rzucił się ociężale na ziemię i wyciągnął się jak długi. Była wtenczas nie mała przerwa milczenia, przerwa przykra i niespokojna dla Tetona, aż póki chrapanie wędrownika nie uwiadomiło go, iż był uspiiony. Dziki bardzo był ostrożny, żeby zawierzyć pierwszemu snu pozorom. Ale trudy całodziennego przyspieszonego pochodu, ciążyły bardzo widocznie na strażnika, i wątpliwość, w tej mierze, długo nie trwała. Tymczasem poruszeniem prawie niedostrzeżoném, i stopniami niewyraźnemi, tak, iż najwprawniejsze oko zaledwieby postępować za niemi mogło, Dakkotali powstał i nachylił się znowu ponad swoim nieprzyjacielem, nie czyniąc więcej szelestu, jak liść bawełnianego drzewa, który się ponad nim w powietrzu kołysał.

Mahtoree postrzegł wtenczas, że los emigranta był w jego ręku. W tym samym czasie, kiedy się przypatrywał członkom krzepkim i kształtom atletycznym młodzieńca, z tym rodzajem podziwienia, którego siła fizyczna rzadko w dzikim nie obudza, sposobił się zimno zgasić pierwiastek żywotny, który sam jedynie straszną ją czynił. Szukając siedliska życia, odsłonił zwolna szatę, która go przykrywała, podniósł swoją broń wyostrzoną, i już się gotował do połączenia siły i zręczności razem, ażeby cios zadadź śmiertelny, kiedy młody emigrant wyciągnął zwolna w tył swoje żyłowate ramię, którego się wytężone muszkuły w guzach malowały, dając znać o jego nadzwyczajnej sile.

Mahtoree zatrzymał się: nowa rewolucja w jego wyobrażeniach nastąpiła. Sen jego nieprzyjaciela zdawał się mu niebezpieczeństw wystawiać, aniżeli sama śmierć jego. Szmer najmniejszy mógł się stać

zgubnym dla niego. Pomyślił sobie, że rozwiązanie się ciała tak olbrzymiego nie odbędzie się bez walki gwałtownej i bez straszliwego konania. Myśl ta jego doświadczeniu nawinęła się z szybkością błyskawicy. Oczy jego iskrzące się zwróciły się naprzód na koczowisko poza nim leżące, potem na las, który miał przed sobą, następnie na wszystkie strony po rozległym i milczącym stepie. Nachylając się wreszcie ponad tym, który już tak był blizkim od zostania jego ofiarą, zapewnił się, że głęboko zasypiał i odstąpił swojego pierwszego zamysłu, nie przez ludzkość wszakże, lecz przez politykę.

Mahtoree cofnął się z tąż samą ostrożnością, z jaką przybył. Wtenczas się skierował w linii prostej ku taborowi, starając się zawsze iść brzegiem lasu, ażeby się mógł do niego schronić w przypadku twogi. Namiot odosobniony sciągnął naprzód na siebie jego uwagę. Przypatryw-

szy mu się z wierzchu i przysłuchawszy się przez czas długi, zasięgając rady od swoich uszu: dziki odważył się z dołu podnieść zasłonę i wemknać tam swoją głowę. Po minucie cofnął ją, a usiadłszy na ziemi z wlepionemi w nią oczyma został beczynny, jak gdyby się namyslał głęboko. Potém przybierając pierwsze swoje położenie, znowu pod płótno tajemnicze sięgnął głową. Tą razą uważenie jego dłużej trwało, a odwiedziny te zdawały się coś uroczystsze w sobie zawierać. Miały one swój koniec atoli, jak wszystkie rzeczy tego świata: wycofał powtórnie głowę i oddalił się krokiem powolnym. Zmierzał wtenczas ku miejscu, gdzie rozmaite przedmioty na kupę były zwałone, ale których ciemność rozpoznać nie dozwoliła; mniemał jednak, że to był śrzodek obozu. Po zrobieniu kilku kroków, zatrzymał się nagle, odwrócił głowę, spójrzył na mały samotny obwód, który opuścił, i zdawał

się niepewnym, azali nie ma tam powrócić  
zuowu. Ale obwarowania, zrobione z ga-  
łęzi, znalazły się wtenczas właśnie pod  
jego ręką, a te ostrożności zdawały się go  
uwiadamiać o szacunku przedmiotów chro-  
nionych tak troskliwie. Chciwość jego tém  
bardziej była podniecona, postępował przeto  
dalej.

Sposób, jakim się on wśliznął pomiędzy  
giętkie gałęzie bawełnianego drzewa, po-  
dobny był bardzo do krętego czołgania się  
wężowego: ciało jego zdawało się skupiać  
i przedłużać według woli, stosownie do  
tego, jak przesmyk mniej lub więcej cia-  
snym się stawał. Skoro tylko znalazł się wśród  
obwodu, zaczął szybko przeglądać miej-  
scowość, potem miał ostrożność zapewnien-  
ia dla siebie odwrotu snadnego, uprzą-  
tając wszystko, coby tylko mogło stawić  
zawadę szybkości jego biegu. Wtenczas  
powstając w całej swojej wysokości, przejr-  
zał obóz, jak zły duch, upatrując na jaki



przedmiot wyrze naprzód swoje zamiary piekielne. Zwiedził już sałasz, pod którym się schroniła żona emigranta i jej młodsze dzieci: już pomiął wiele ciał olbrzymich, leżących niedbale na ziemi, w stanie zupełnej nieczułości, kiedy nakoniec przyszedł do miejsca, na którym sam Izmael osobiście spoczywał. Człowiek takiej rostopności jak Mahtoree, nie mógł się nie domyślić, iż miał w swojej mocy naczelnika emigrantów. Stał długo przypatrując mu się: oczy jego były wlepione w te członki krzepkie, wtenczas, kiedy jego umysł oceniał powodzenie przedsięwzięcia i sposoby wydobywania z niego jak najwięcej pożytku.

Zostawił w pochwach nóż, który w pierwszym wzruszeniu pokusił się wydobydź, chciał iść dalej, kiedy Izmael obracając się na swojej pościeli, zapytał się tonem surowym: kto tam jest? Potrzeba było całego przebiegu i całej przytomności umy-

słu człowieka dzikiego, ażeby sobie poradzić w tak trudnym razie. Nasładowując głos niezrozumiały i przerywany tego, który doń mówił, rzucił się na ziemię i zdawał się być uspiionym. Izmael widział jego przewracanie się, ale sposobem pomieszonym i przez powieki wpółotwarte: z drugiej strony wybieg był nadto śmiały i nadto zręcznie wykonany; nie dziw więc, że go pomysłny skutek uwieńczył. Emigrant wkrótce powtórnie zamrużył oczy i zasypiał, mając gościa tak niebezpiecznego wśród swojej rodziny.

Tetonowi przez wiele minut, które się z przykrością przedłużać zdawały, zostawać w takim, jakie przybrał, położeniu, w celu zapewnienia się, iż nie był postrzeżony, należało. Lecz chociaż ciało jego było nieruchome, umysł czynny działał atoli: korzystał z tych chwil, układając plany, przez którychby wykonanie obóz i wszystko, co się w nim zawierało, mogły

zostać jego zdobyczą. Jak tylko zmiarkował, że to może uczynić bez niebezpieczeństwa, niezmordowany naczelnik powstał nanowo, a czołgając się po ziemi z szybkością i rostopnością, jaką zawsze okazywał, zwrócił się ku obwodowi, w którym domowe bydło było zawarte.

Pierwszemu, które napotkał bydłęciu, przypatrywał się długo, z drobiazgową bacznością. Teton dotykał ręką jego gęstej i miękkiej wełny, tudzież wszystkich członków szczupłych i delikatnych, z ciekawością niezmordowaną. Biedne zwierzę poddawało się wszystkiemu z powolnością zupełną, jak gdyby tajemny instynkt ostrzegał je, że w tych niezmiernych pustyniach, człowiek jeszcze był najpewniejszym opiekunem, jakiego tylko sobie znaleźć mogło. Jednakże Mahtoree zakończył przez puszczenie tej zdobyczy, która mu w jego wyprawach niebezpiecznych na nie się przydadź nie mogła; ale radość jego

była niezmierna, kiedy się znalazł wśród rogatego bydła, i z trudnością powściągał głośne wykrzyknienia, które ledwo się nie wyrwały z ust jego. Niebezpieczeństwa, które przeżył, nim się tu dostał, były zapomniane, a rostopna baczność wojownika, miejsca na chwilę nieumiarkowanym uniesieniom dzikiego człowieka ustąpiła.

---

## R O Z D Z I A Ł. V.

---

Pogardziłiśmy prawem, prawo nam nie służy,  
I cóż tracim mój ojczy? po co czekać dłużej,  
Żeby się nam nikczemnik urągał nanowo?  
Bądź i sędzią i katem nad przemierzłą głową.

CYMBALINN.

**P**ODCZAS, kiedy wojownik tetoński dopełniał z taką zuchwałością swojego niebezpiecznego przedsięwzięcia, żaden odgłos na stepach spokojności nie zmięszał. Całe jego wojsko nieporuszone, na rozmaitych stanowiskach, które mu wyznaczone były, czekało z cierpliwością, bardzo dobrze znającą krajowcom, na hasło do działania. Oczom widzów niespokojnych i skłopotanych, zajmujących niewielką wyniosłość,

o któreśmy już mówili, scena ta nocna wystawiała widok jednokształtny i dziki pustyni, na którą blade księżycy promienie, z trudnością przedzierające się przez obłoki, wątpliwe światło rzucały. Barwa nieco posępniejsza od tej, która okrywała parów, wskazywała miejsce koczowiska: a od jednej do drugiej odległości, szlak świetniejszy nakreślał wierzchołki wzgórków. Wreszcie wszędzie głęboka i uroczysta cisza pustyni panowała.

Ale dla tych, którzy widzieli dostatecznie, co się pod tą nocną zasłoną knowało, scena ta miała interes taki, jakiego niepodobna opisać. Ich udręczenia pomnazały się stopniami coraz, w miarę upływających minut, kiedy tym czasem najjuńiejszy odgłos do ich uszu nie dochodził. Oddychanie Pawła było coraz mocniejsze, i coraz bardziej przyspieszone, a Helena doznała niejednokrotnie przerażenia mimowolnego, czując gwałtowne i nagłe jego wstrząśnienie wten-

czas, kiedy się na opiekuńczeniu jego ramieniu opierała.

Podłość i łakomstwo Wenchy, już się na jaw w zupełności całej okazały; Czytelnik przeto nie będzie zdziwiony, że on pierwszy zapomniał na prawidła, które samemu sobie przepisał. Właśnie w tymże samym czasie, kiedyśmy zostawili Mahtorego, oddającego się uniesieniu całej swej niepowściągniętej radości na widok mnóstwa rogatego bydła Izmaelowego; człowiek, którego on wybrał do czuwania nad jeńcami, szukał złośliwej rokoszy w dręczeniu tych, którymi się opiekować był powinien. Nachylając głowę do uszu starca, rzekł do niego cichym i prawie przytłumionym głosem:

— Jeżeli Tetonowie stracą swojego naczelnika pod razami *Długich-Nożów*, równie starzy jak i młodzi będą musieli umierać.

Życie jest w ręku Wahkondaha, odpo-

wiedział starzec bez wzruszenia. — Wojownik nieustraszony, równie jak i jego dzieci inne, prawom jego ulega. Ludzie unierają wtenczas, kiedy mu się podoba i żaden Dahkotoh praw jego zmienić nie potrafi.

— Patrzaj! odpowiedział dziki, błysnąwszy wyostrzonym nożem przed oczyma jeńca; Wencha dla psa jest Wahkondahem.

Starzec zwrócił oczy na swojego okrutnego strażnika: wyraz głębokiej wzdargy, wraz z cnotliwym gniewem na jego się obliczu malował, lecz wkrótce ustąpił miejsca, jeżeli nie boleści, to przynajmniej politowaniu.

— Dla czego człowieka na obraz Boga stworzonego, gniewałyby wyrazy istoty, która tego samego daru nie odebrała? rzekł w języku angielskim, ale tonem nierównie wynioślejszym od tego, w jakim Wencha zaczął był rozmowę. Ten się oburzając za to, porwał starca za trochę włosów siwych



spod czapki spadających, i już się zabierał nożem uciąć mu je, z głową razem, kiedy przeciągły i przeraźliwy krzyk przebił powietrze, a powtórzony przez tysiączne echa, rozległ się, jak gdyby zastęp duchów piekielnych połączył razem swoje głosy na wydanie jego. Wencha porzucił starca i wykrzyknął radośnie.

— Dalej zawołał Paweł niezdolny utrzymać dłużej swojej niecierpliwości, nuże stary Izmaelu, oto chwila pokazania się i udowodnienia, że prawdziwa krew kentucka płynie w twoich żyłach. Dzieci strzelajcie w dół na ziemię, albowiem Czerwone-Skóry czołgają się jak gadziiny pomiędzy trawą.

Ale głos jego ginął wśród okrzyków i wywoływań różnego rodzaju, które jednocześnie z pięciudziesiąt rozmaitych ust wynikały. Strażnicy sami tylko przy jeńcach na miejscach swoich pozostali, ale z tym przymusem, z tą niespokojnością, jaką okazują rumaki, stojące w szrankach i czeka-

jące tylko na hasło do przegonów. Miotali ramionami wzniesionemi na powietrze, podskakiwali, dawali susy, podobni raczej do dzieci upojonych radością, aniżeli do ludzi rozsądnych; i bezustannie krzyki najdzikszej wściekłości podnosili.

Wśród tego rozruchu, nowy łoskot dał się słyszeć, podobny do tego, jakiby sprawić mógł przechód tłumny mnóstwa bawołów: jakoż w rzeczy samej była to trzoda bydła Izmaelowego, która prędką swoją ucieczkę w kierunku tym odbywała.

— Skradli emigrantowi całe jego bydło, rzekł baczny starzec, i konie także: Boże mi odpuść ciężkie grzechy! ani jednego złoczyńcy nie zostawili mu w obozie.

Mówił jeszcze, kiedy trzoda cała przestraszonego bydła wdrapała się na mały wzgórek, na którym zostawali, i nagle około nich przechodziła, popędzana przez zgraję istot zaledwie ludzkich.

Wprawito to, w niespokojność konie te-

tońskie, które nawykłe od dawnego czasu do dzielenia zapędu nieunoszonego swoich panów, rzuciły się z rącością do pohamowania niepodobną. W tej chwili, kiedy na ten zgiefk ludzi i zwierząt wszystkie oczy zwrócone były, starzec wyrwał nóż z rąk swojego niebacznego strażnika, z siłą, jakiej wiek jego podeszły nie zdawał się obiecywać, i jedném cięciem rozerznął długi pas skórzany, do którego trzoda cała była przywiązana. Natychmiast wszystkie zwierzęta, rżąc, becząc i rycząc, każde po swojemu, rozproszyły się po stepie, uciekając w rozmaitych kierunkach.

Wencha obrócił się ku starcowi z całą dzikością i rącością tygrysa: sięgnął ręką do pochwy swojego noża, chcąc z niej wyjąć broń, która mu nagle wydarta została, potem szukał omackiem toporzyska swojego tomahawku, i w tymże czasie ścigał okiem trzodę uciekającą z całą załością zachodniego Indyanina. Pragnienie zemsty

i chciwość walczyły w nim z sobą na przemiany, ale ta walka długo nie trwała. Chciwość musiała wziąć górę w duszy nikczemnej i poziomej, kiedy chwila nie upłynęła pomiędzy ucieczką trzody a ściganiem jej przez wszystkich strażników.

Starzec uważał ciągle ze spokojnością swojego nieprzyjaciela, przez ten czas wahał się, który po jego czynie zuchwałym nastąpił: a skoro Wench rzucił się w ślady swoich towarzyszków, rzekł wskazując nań palcem, z tym głuchym i prawie przytłumionym uśmiechem, który był jemu właściwy.

Te skóry czerwone! ich skłonności wszędzie są też same, bądź one w lesie, bądź w stepie się objawiają! Niechby kto dopuścił się podobnej wolności względem chrześcijańskiego żołnierza na straży, porządne cięcie w głowę byłoby najmniejszą jego nagrodą; ale oto Teton upędza się za końmi! jak gdyby myślał, że dwie nogi nie-

warte są czterech w podobnym przegonie. Cóż ztąd? Łotry zgromadzą je przed świtaniem: albowiem tu jest rozum przeciwko instyktowi: rozum wprawdzie lichy, na to się zgadzam; ale zawsze wiele jest własności człowieczej w Indyaninie. Ah! Boże! wasi Delawarowie byli plemieniem czerwono-skórym, którym się Ameryka pysznić mogła! ale w cóż się obrócił ten naród potężny? rozproszony i prawie zniszczony został! Zaprawdę emigrant dobrze postąpi, jeżeli się tu zostanie i osiadzie: wody tu jest podostatkiem za to, że natura w tym miejscu odmówiła mu rokoszy ogoławania ziemi z drzew, któremi się ona ma prawo przyodziewać. Nie znam ja Tetonów, jeżeli on nie ostatnie swoje zwierzę o czterech nogach oglądać będzie...

Czy nie postąpilibyśmy rozsądniej i lepiej udając się do taboru, rzekł pszczelnik: z tej strony będzie zapewne rozprawa regularna, jeżeli się stary Izmael nie odmienił.

— Nie, nie, zawołała z żywością Helena.

Przerwał jej starzec, przykładając zlekka rękę do ust i mówiąc:

— Cyt! mów pocichu! najmniejszy odgłos może nas narazić. — Przyjaciel wasz, dodał obracając się do Pawła, czy ma dosyć serca ... ?

Młodzieniec przerwał mu ze swojej strony. — Nie nazywaj go tak zmiłuj się; nigdy, najmniejszy stosunek....

— Dobrze, dobrze: wreszcie kimby on nie był, czy jest to człowiek, który niegotów oszczędzać ani prochu, ani ołowiu w obronie swojego dobra.

— Jego dobra! tak, tego nawet, które do niego nie należy. Czy nie mógłbyś mi powiedzieć stary wniczniku, kto to rozciągnął na ziemi wysłańca szeryfowego, który chciał wypędzić osadników zamieszkałych nieprawnie przy Jeziorze-Bawolim w starém Kenkucky? Tego właśnie samego dnia ściga-

łem rój przepyszny aż od dziupla uschłego buku. U stop tegoż samego drzewa leżał jak długi urzędnik sprawiedliwości, kula przeszła *Łaskę Bożą* (1), którą on nosił w kieszeni swojej kamizelki przy samym sercu: jak gdyby myślał, że kawał skóry baraniej może służyć za pancerz przeciwko kuli pogranicznego osadnika. Cóż to? czego się wzdrygasz Heleno! niedowiedziono nigdy oczywiście, że on był sprawcą tego morderstwa, pięćdziesiąt innych mogło toż samo uczynić.

Biedna dziewczyna zadrżała, usiłując sobie przewyciężyć, ażeby przytłumić westchnienie, które na przekorę jej gwałtem się z głębi piersi wydierało.

Starzec nie posuwał dalej swoich badań w celu dowiedzenia się, azali Izmael skłonny

---

(1) To jest, mandat aresztu, który miał przy sobie: wszystkie bowiem akta urzędowe w Ameryce zaczynały się od tych wyrazów: „*Lud, z Łaski Bożej wolny i niepodległy.*“

będzie do zemsty: odpowiedź Pawła, opowiedzenie krótkie, lecz pełne istoty jego postępków, dosyć go w tej mierze oświeciły; wolał się oddać następstwu wyobrażeń, jakie okoliczności doświadczeniu jego podsuwały.

— Każdy zna najlepiej więzy, które go z podobnemi sobie istotami jednoczą, odpowiedział: chociaż bardzo żałować potrzeba, że barwa i mowa, fortuna i nauka, stanowią tak wielką różnicę pomiędzy tymi, którzy wszakże są jednego dziećmi ojca! Wszakże, dodał, w sposobie przejścia z jednej materyi do drugiej, malującym tak dobrze jego charakter: ponieważ to jest sprawa, w której najpewniej, iż więcej będzie zadanych ciosów, aniżeli by zdarzyła się jedna potrzeba kazania, najlepsza jest, przygotować się na wszelki wypadek. — Cicho! robi się poruszenie od strony koczowiska. Jest podobna do prawdy, że nas widzą.

— Miałażby się tu familia Izmaela przybliżyć? zawołała Helena drżącym głosem,



który dowodził, że zbliżenie się jej przyjaciół, tyle jej prawie sprawowało przestachu, ile go pierwej od obecności Tetonów doświadczyła. — Oddał się Pawle, zostaw mię. Przynajmniej potrzeba, żebyś ty nie był postrzeżony.

— Heleno, jeżeli cię zostawię w tej pustyni, pierwej nim zdrową i całą oddam, choć pod opiekę Izmaela, bogdajbym nigdy nie słyszał brzęku żadnej pszczoły: albo co gorsza, bogdajbym utracił wprawny rzut oka, który mię aż do ula doprowadza!

— Zapominasz o tym poczciwym starcu, on mię nie opuści. Wszakże się niepierwszy raz rozłączamy, a ta pustynia, Pawle, mniej jest okropna niżeli....

— Nigdy, nigdy! niech tylko ci Indianie powrócą, a wtenczas cóż się z tobą stanie? Powłoką cię ku Góróm-Opczystym, pierwej nim ja stanę w połowie drogi, szukając twoich śladów i lecąc na twój ratunek. Co mówisz na to starcze? Ci Teto-

nowie, jak ich nazywasz, czy prędko, zdaniem twojem, po zabranie reszty sprzętów i zapasów Izmaela, powrócą?

— Co się ich tycze, możesz bydz spokojnym, odpowiedział starzec śmiejąc się swoim sposobem: uręczam, że złoczyńcy najmniej na sześć godzin będą mieli bieganiny za rozproszonem bydłem. — Ale ciszej! słyszę znowu szmer w parowach pod wierzbami. Żywiej na ziemię, zanurzcie się w trawie. Jakem nikczemna lepianka z gliny, słyszałam szczęknięcie odprowadzonego kurka karabinowego.

Starzec nie dał swoim towarzyszom czasu do namyślenia się, ale ciągnąc ich za sobą, całkiem się w trawie stepowej zagrzebał. Szczęściem się zdarzyło, że zmysły starca miały tyle czułości, i że działał z takim pośpiechem: zaledwie albowiem nachylili się ku ziemi, kiedy wystrzał karabinowy, przeraźliwy i ostry, przeszył ich uszy, a świst morderczej przeleatującej kuli przeleciał ponad ich głowami.

— Wybornie młodzi mazgaje! wybor-  
nie stary mozgowcze! rzekł pocichu Pa-  
weł, którego porywczosci żadne niebezpie-  
czeństwo i żadne, jakiegokolwiek bądź, po-  
łożenie powściągnąć nie mogło: oto wy-  
strzał, który wam zaszczyt przynosi. Jakże,  
staruszkule! zdaje mi się, że wojna z tej strony  
idzie z powodzeniem. Zle byłoby, żeby-  
śmy w długu pozostali, co myślisz, naprzy-  
kład, żebym ja im dał odpowiedź?

— Nie odpowiadaj im inaczej, chyba  
tylko słowami, w razie przeciwnym zginę-  
liście oboje.

— Wątpię, azali rzeczy nie poszłyby le-  
piej, żebym zamiast języka przemówić ka-  
zał mojej fuzyi, rzekł Paweł tonem żarto-  
bliwym, który nie był wszakże bez gory-  
czy.

— Na miłość bozką, żeby oni ciebie cza-  
sem nie posłyszeli! odezwała się Helena:  
oddal się Pawle, oddal się, możesz to ła-  
two jeszcze wykonać.

Kilka następujących po sobie wystrzałów, bliższe jedne od drugich przerwały jej mowę, a bojaźń równie jak rostopność odezwać się nanowo zabraniały.

— Potrzeba, żeby się to raz skończyło, rzekł starzec podnosząc się z godnością i zimną krwią człowieka, nad czynem poświęcenia się rozmyślającego: nie wiem dzieci, co za mus zniewala was do lękania się tych, którychbyście oboje czcić i kochać powinni; ale trzeba się dla waszego ocalenia na jedno odważyć. Kilka godzin mniej lub więcej niczém są dla człowieka, który już tyle dni życia liczy; chcę się więc pokazać: korzystajcie z tej chwili, i oboje się oddalcie, a Najwyższy niechaj was błogosławi, udzielając szczęścia, na jakie zasługujecie!

Nieczekając na odpowiedź, starzec zstąpił odważnie ze wzgórza, a pewnym i śmiałym krokiem ku taborowi się obrócił. Chodu jego, żadne bojaźni uczucie, ani o-

poźnić, ani przyspieszyć nie zdołało. Promienie księżyca, jaśniejsze w tej chwili, na postawę jego padały, posługując do uwiedomienia emigrantów o zbliżeniu się jego. Obojętny na tę nieprzyjazną okoliczność, szedł ciągle w milczeniu, kiedy głos donośny i pełen groźby zatrzymał go wołając:

— Kto tam jest? przyjaciel, czy nieprzyjaciel?

— Przyjaciel, odpowiedział: człowiek, który żył dosyć długo i końca żywota swojego rosterkami nie zakłóci.

— Ale niedosyć długo, żeby nie zapomniał figłów swojej młodości, rzekł Izmael podnosząc głowę zza krzaków, za którymi siedział na czatach: ty to naprowadziłeś na nas tę zgraję szatanów czerwono-skórych, a jutro swoją część zdobyczy odbierzesz.

— Coście utracili? zapytał spokojnie starzec.

— Sześć kłaczy najpiękniejszych, które kiedykolwiek nosiły rzędy, nie wspomina-

jąc źrzebca, wartującego trzydzieści najlepszych Meksykanów, bitych pod sztęplem króla hiszpańskiego. A mleko i wełnę, gdzie je biedna kobieta weźmie? cały dobytek zginął, rozumiem nawet, że wieprze, chociaż były kulawe, biegają teraz po stepie. Powiedz mi cudzoziemcze, rzekł, uderzając o ziemię kolbą swojej fuzyi z takim łoskotem i gwałtownością, iż człowieka z mniejszym sercem, niż był wnucz-  
nik, do żywego by przeraził: powiedz mi, wiele tego bydła może na twoją schedę przypaść z podziału.

— I cóżbym z niem począł? nigdy nie żądał mieć koni, nigdy ich nawet nie używał: chociaż mało jest ludzi, którzyby więcej ode mnie w rozmaitych kierunkach pustynie amerykańskie przebiegli: chociażem tak słaby i stary; ale w pośród skał i lasów Yorku na nicby się nie przydały konie, — to jest Yorku takiego, jak był niegdyś; a lękać się bardzo, azali teraz jest

takim! Co się zaś tycze krowiego mleka i wełnianego przykrycia, rzeczy te bardzo są wygodne dla białychgłów, ale we mnie do posiadania ich żadnej nie wzbudzają chętki: zwierzęta stepowe na moje pożywienie wystarczają. Nie, nie żądam innej nad skórę danielową odzieży, ani nad jego mięso posilniejszego pokarmu.

Szczere oblicze, z jakim starzec to krótkie usprawiedliwienie się wymówił, pewne wrażenie na emigrancie uczyniło: który wyszedł na chwilę ze swojego zwykłego odrętwienia, i uczuł, że się jego niechęć coraz mocniej pomnażała, i bliską była straszliwego wybuchnienia. Słuchał jak człowiek powątpiewający, ale który nie był dostatecznie przeświadczony: wymruknął pod nosem przez zęby krwawe wymówki, którymi przed chwilą gotował się go przywalić, a potem okrutnie się zemścić.

— Piękne to są słówka, rzekł nakoniec, ale które, według mnie, bardzo trącają adwo-

TOM I. <http://rcin.org.pl> 14

katem, jak na szczerego i poczciwego myśliwca.

— Ja tylko jestem wnicznikiem, odpowiedział starzec ze słodyczą.

— Myśliwiec, czy wnicznik, mała to różnica. Starcze, przybyłem w te strony dla tego, że mię prawo bardzo zbliżka przyciskało, iż nie lubię mieć sąsiadów, z którymi trudno załatwić nieporozumienie, bez utrudzania sędziego i tuzina innych ludzi; alem nie przybył po to, ażebym widział wydartą sobie moją własność, i powiedział, dziękuję, człowiekowi, który mi ją zabrał.

— Kto się tak daleko w stepy zapuszcza, powinien być gotów do znoszenia sposobu postępowania ich panów.

— Panów! z oburzeniem się powtórzył emigrant: mam równe prawo do ziemi, po której chodzę, jak każdy Stanów wielkorządca! Czy nie mógłbyś mi powiedzieć cudzoziemcze, gdzie jest prawo, gdzie przyczyna, gdzie przekonanie, któreby mó-



wiło, że człowiek jeden będzie miał dzielnicę, miasto, a może i prowincją dla siebie samego, wtenczas, kiedy drugiemu zebrzeć trzeba będzie o kątek ziemi, na wykopanie w niej swojej mogiły? Nie masz tego w naturze, zaprzeczam zatém, żeby to miało bydz w prawie, — w prawie takim, rozumie się, jakim bydz powinno, nie zaś, jakiemście je uczynili.

— Nie mogę powiedzieć, ażebyś nie miał słuszności, odpowiedział starzec, którego w tej ważnej materji opinie, chociaż z innej wynikające zasady, dziwnie wszakże zgadzały się ze zdaniem Izmaela: zawszem tak myślał i takem mówił, kiedy mniemałem, że głosu mojego słuchano. Ale ci, którzy skradli twoje trzody, rozumieją się panami wszystkiego, co się tylko w pustyniach znajduje.

— Lepiej zrobią, jeżeli tego nie będą utrzymywali w obec człowieka, który doskonale zna się na rzeczy, rzekł emigrant

głosem przytłumionym i pełnym grozy. Mogę się nazwać uczciwym kupcem, który w podróży tyle daje, ile odbiera. Widziałeś Indjanów?

— Tak jest, byłem ich jeńcem, kiedy się wemknęli do twojego koczowiska....

— I takżeto biały, takżeto chrześcjanin powinien był w podobnym zdarzeniu postąpić? nie godziłoż się w czas mię ostrzedz? rzekł Izmael rzucając złowrogie na starca wejrzenie, jak gdyby jeszcze na życie jego nastawać zamyślał. Nie kwapię się ja do bratania się z pierwszym człowiekiem, którego spotkam na drodze; jednakże wspólność barwy znaczyć coś powinna, zwłaszcza, kiedy się chrześcjanie w podobnym temu miejscu spotykają. Wreszcie, co się stało, to się odstąpić nie może, i wszystkie w świecie rozprawiania, nic tu przemienić nie zdołają. Dzieci wyjdźcie ze swojej zasadzki, jeden tylko starzec jest tutaj. Siedział on ze mną razem przy pożywaniu powszedniego chleba,

powiniennem więc z nim się obejść po przyjacielsku: chociaż słuszne mam przyczyny mieć go w podejrzeniu o porozumienie z naszymi wrogami.

Na te podejrzenia obelżywe, które emigrant, wyzuwszy się z delikatności, bez ogrodki wymawiał, pomimo usprawiedliwienie się, przed chwilą, słyszane, starzec nic nie odpowiedział. Wezwanie naczelnika rodzeństwa natychmiast skutek swój wzięło. Na głos jego pięciu, czy sześciu jego synów, z za tyłuż wyszło krzaków, gdzie się zakradli, mniemając, że postrzeżone na wzgórzu osoby składały eżęć hordy Tetonów. W miarę, jak się jeden po drugim zbliżali, od niechcienia fuzje swoje brali pod pachy, i poglądali na człowieka obcego, nieokazując wszakże najmniejszej ciekawości dowiedzenia się, z kąd on przybywał i dla czego tu się znajdował. Wynikało to po części z ich niedbałego charakteru, a więcej jeszcze ze zwyczaju

znajdowania się wśród scen podobnych, które im dały poznać potrzebę bacznej i powściągliwej roztropności. Starzec wytrzymał ich spójżenia ponure, chociaż milczące, ze stałością człowieka, który dłużej od nich brał nauki doświadczenia i razem z uspokojeniem niewinności. Przystając na przypatrzeniu się uważném, acz nagłém, starszy z synów, ten właśnie, którego czujność uśpiona nastęczyła tak piękną porę przedsięwzięciom Tetona, obrócił się do swojego ojca i rzekł bez namysłu:

— Jeżeli to jest wszystko, co pozostało z ludzi, którychem tam na wzgórzu oglądał, nie straciliśmy całkowicie nadaremnie naszego prochu.

— Asa mówi prawdę, rzekł ojciec poglądając na starca, jak gdyby wyrazy jego syna przywiodły mu na pamięć wyobrażenia, których pasmo utracił; z kąd to pochodzi cudzoziemcze? troje was było niedawno, albo światło księżycowe jest zupełnie zwodnicze.

— Gdybyś był widział Tetonów snujących się jak szatany skrzydlate, kiedy się za twoją trzodą upędzali, przyjacielu, nie byłoby ci trudno przypuścić, że się ich więcej tysiąca znajdowało.

— Tak, mogłoby się to przytrafić dzieciom niektórym, wychowanym w miastach lub też białymgłomom; a i z pomiędzy tych, jest na przykład stara Estera, która równie człowieka czerwonej barwy, jak maleńkiego niedzwiadka, lub też się wilczka nie obawia. Zapewniam cię, że gdyby te czółgające się szatany przy świetle dziennem swoją wyprawę odbywały, odważna białogłowa dałaby się im porządnie we znaki: obaczyliby Tetonowie, że bez obrony, masła swojego i sérów ustąpić im niegotowa. Ale przyjdzie czas cudzoziemcze, w którym się sprawiedliwość domierzy, i to niezadługo, a nawet bez pomocy tego, co to wyprawem nazywacie. Jesteśmy rodem z natury swojej opieszalym, wiem o tem, że

<http://rcin.org.pl>

tak o nas mówią; ale powoli pewniej się do zamierzonego celu trafia: mało jest ludzi, którzyby się mogli pochlubić, że Izmael Bush, odebrał od nich cios, którego by z lichwą nie odpłacił.

— I cóż ztąd? w podobnym przypadku Izmael Bush szedł raczej za dzikich zwierząt instynktem, niż za prawidłami rzetelności, które powinny prowadzić jestestwo należące do jego rodzaju, rzekł nieustraszony starzec. Ja sam nie jednokrotnie zadawałem razy; ale uczucia, którego człowiek rozumem obdarzony doświadcza niezbędnie, kiedy choć daniela pozbawi życia, niemając potrzeby ani jego mięsa, ani jego skóry, w ciągu pobytu mojego na ziemi, raz tylko doświadczyłem, a to było, kiedy zabitego przez siebie Mingo zostawiłem w lesie bez pogrzebu, w ciele, kiedy szczerze prawnie i z całą rzetelnością sumienną prowadził wojnę.

— Byłeś więc żołnierzem starcze? ja

sam także będąc młodym odbyłem jedną czy też dwie wyprawy u Cherokiezów, dowodził nami *Mad Anthony* (1), przez całą kampanią wśród buków: ale bah! dla mnie zanadto wiele było regularności i precyzji, tak dalece, że opuściłem wojsko, nie idąc nawet do kwatermistrza dla porachunku. Prawda jest, jak się później Estera chlubiła, że umiała tyle skorzystać z bony na odebranie żołdu mi wydanego, iż Stany na mojem leniwstwie niewiele zyskały. *Mad Anthony* musiał dójść do twojej wiadomości, jeżeliś się długo w tym kraju znajdował?

— Ostatni raz walczyłem pod jego rozkazami, rzekł starzec, a oczy jego na chwilę zabłysły, jak gdyby ta pamiątka była mu przyjemną; lecz wkrótce czoło się jego zachmurzyło, i spuścił na chwilę głowę ku

---

(1) *Antoni Wściekły*: takie miał nazwisko u Indianów generał Wayne, dla swojej niepohamowanej natarczywości, z jaką zwykle na nich nacierał.

ziemi, zasmucony zwróceniem umysłu swego na sceny gwałtowne, w których tak czynne miał uczestnictwo. — Przechodziłem ze Stanów położonych nad morzem do tych krain oddalonych kiedym się spotkał z tylną strażą jego wojska. Szedłem z nią przez czas niejaki, w charakterze prostego tylko widza: ale kiedy przyszło do rozprawy, huk mojego karabina dał się słyszeć w pośród innych: a jednakże na zawstydzenie moje wyznać powinienem, że nie wiedział, która strona słuszną miała prawo, i że nie postępowałem tak, jak to byłoby powinien człowiek siedmdziesiątletni, który powinien był wprzód dojrzałe się namyślić, nimby przystąpił do nastawiania na życie swoich bliźnich: ponieważ to jest dar, którego powrócić nigdy nie jesteśmy w stanie.

— Wierzaj mi cudzoziemcze, rzekł emigrant, którego gniew znacznie się ułagodził, po dowiedzeniu się, iż obaj z je-



dnej strony w krwawej zachodniej wojnie walczyli, mało na tém zależy, ażeby wiedzieć powód niezgody, kiedy chrześcianin przeciwko dzikiemu występuje. Jutro pogadamy o tej kradzieży bydła, dzisiejszej zaś nocy, nic lepszego zrobić nie potrafimy nad udanie się do spoczynku.

To rzekłszy Izmael obrócił się ku taborowi, w towarzystwie człowieka, którego przed kilką minut życie w tak wielkim się niebezpieczeństwie przez niego znajdowało. Jak tylko tam przybył, po kilku wyrazach objaśnienia, połączonych z obelgami krótkimi ale dosadnymi, miotanemi na rabusiów, uwiadomił kobiety, jak się rzeczy miały na stepie, i objawił natychmiast swoje postanowienie wypoczynku po tyłu trudach, na spanie resztę nocy poświęcając.

Starzec zgodził się na to bardzo chętnie, i rozciągnął się na posłaniu z młodych gałęzi, na które go zaproszono, ze spo.

nością i bezpieczeństwem monarchy, który-  
by się sposobił do kosztowania słodczy  
spoczynku, na łonie swojej spokojnej sto-  
licy i swoją obronną strażą otoczonego.  
Wszelakoż, zawsze baczny, nie zamknął oczu  
pierwej, aż był pewny, że się Helena Wade  
wśród rodziny z innymi niewiastami znaj-  
dowała: i że jej młody przyjaciel, krewny  
czy też kochanek, miał tyle rostopności,  
że się od niej oddalił. Wtenczas spokoj-  
nie zasnął: a chociaż we śnie, zachował  
wszakże cząstkę tej czujności, do której się  
od tak dawnego czasu przyzwyczał.

---

ROZDZIAŁ VI

---

Sama w nim trudność, oschłość i przysada żywa,  
Na mozgowca, dziwaka, zakaty zarywa.

SZEKSPIR.

**A**NGLO-AMERYKANIN lubi się chełpić, a to nie bez jakiegoś pozoru słuszności, iż naród jego ma prawa najlepiej ugruntowane do pochodzenia szlachetnego i czci godnego, anizeli jakikolwiek lud inny, którego historia na pewną wziętość zasługuje. Pomimo słabości, jakim ulegać mogli pierwsi osadnicy, rzadko im cnot ich zaprzeczano. Jeżeli ich pobożność nie obeszła się bez przymieszania gustów i zabobonów; była jednakże szczerą, przez co samo byli

oni cnotliwymi. Następcom tych ludzi prostych podobało się odrzucić wszystkie sposoby sztuczne, używane pospolicie dla uwiecznienia zaszczytów w rodzinach, a na to miast ustanowić inną wsławienia się zasadę, któraby każdego w szczególności przymioty poddawała pod sąd opinii publicznej, bez żadnego względu na tych, którzy go poprzedzili. Ten dowód umiarkowania, wyrzeczenia się samego siebie, czy też zdrowego rozsądku, lub jakieżkolwiek nazwisko temu ustanowieniu mądrym nadaćby się podobało, był przyczyną do mniemania, że pochodzenie narodu musiało być nikczemne. Lecz gdyby rzecz ta na trudy badawcze zasługiwała, ujrzelibyśmy, że imiona znakomitych obywateli matki ojczyzny, znajdują się przynajmniej w równej liczbie w dawnych osadach: i to jest rzecz bardzo dostatecznie znajoma niewielkiej liczbie osób, które miały dosyć do stracenia czasu na zatrudnienia się podobnemi fraszkami, iż

następcy w prostej linii nie jednej familii blizkiej wygaśnięcia: której arystokracja angielska nie mogła utrzymać, chyba tylko za pomocą linii pobocznych, pełnią teraz powinności prywatnych ludzi, na łonie naszej rzeczypospolitej. Ul statecznie na témże samém pozostał miejscu: a pszczoły, które jeszcze naokoło niego latają, dopominają się wszakże o próżną dystynkcyą dawnego pochodzenia, nie bacząc na wążłość ich pomieszkania, równie jak i na rozkosze rojów licznych i pełnych życia, które słodsze soki na nowej i nietkniętej jeszcze ziemi wysysają. Ale jest to przedmiot, o którym polityk raczej lub historyk właściwie sądzić może, nie zaś skromny opowiadacz przygód domowych, jakie właśnie wykładamy; ograniczymy się zatem uwagami, ściśle do przedmiotu naszego należącemi.

Chociaż obywatel Stanów-Zjednoczonych może się sprawiedliwie szczyścić swoim

zaczęciem urodzeniem; nie może atoli odjąć się trudom, na jakie się wystawił ród jego podupadły. Wiadomo jest, że jednostajne przyczyny wydają zawsze też same skutki. Danina ciężkich trudów, na którą lud zdaje się być skazany, ażeby ją składał na ołtarzach Cerery, pierwaj, nim do jej najbogatszych względów przypuszczony zostanie, wypłaconą była do pewnego stopnia przez następców, wtenczas, kiedy się z niej przodkom uiszczać należało. Postęp naszej cywilizacji wielkie ma podobieństwo ze wszystkimi wypadkami życia, które, jak mówią, „cień swój rzucają przed sobą.“ Wszystkie szczeble cywilizacji społecznej, zacząwszy od tego, który się zowie wykształconym, aż do tego, który się styka z dzikością i barbarzyństwem, tyle, ile mogą pozwolić na te stosunki z ludem oświeconym, znajdują się, zacząwszy od śródka Stanów-Zjednoczonych, gdzie zakwitają sztuki, wprowadzają się dostatki i zbytek, aż do najod-

daleńszych granic, które się codzień usuwają za zbliżeniem się narodu, jak powiewne tumany za wzrostem i pomnażaniem się światła dziennego.

Na tych to granicach i tam tylko wyłącznie napotkać można tę klasę ludzi daleko rozproszoną, chociaż nieliczną, porównać się mogącą do tych, którzy w starym świecie najpierwsi drogę postępowi cywilizacyi utorowali. Podobieństwo, pogranicznych mieszkańców amerykańskich, z ich oryginalnym wzorem w Europie, jest wyraźne, niebędąc atoli zawsze jednostajnym. Wolni od wszelkich zawad, jeden stojąc wyżej, drugi dalej, niż prawa doścignąć mogą, obaj zdołaliby się nazwać dzielnymi: albowiem pogardzali niebezpieczeństwami: pysznymi, albowiem niepodlegali nikomu: nakoniec mściwymi, gdyż sami się za wyrządzone sobie krzywdy upominali. Byłoby rzeczą niesprawiedliwą dla mieszkańca pogranicznego, dalej po-

równanie posuwać. Nie jest on religijnym, albowiem odziedziczył przekonanie, że wiara nie zależy na formach zewnętrznych, i że rozum jego odrzuca wszelką powierzchowność, której sumnienie jego sprawiedliwości oddać nie może. Nie jest on rycerzem, bo nie ma władzy nadawania dystynkcyi, a nie ma zaś jej dla tego, iż jest dziecięciem nie zaś ojcem systematu. Ujrzymy, w ciągu niniejszego opowiadania, rozwinięcie tych własności, w niektórych indywidualach tej klasy, gdzie się one wyraźniej wypiętnowały. (1)

Izmael Bush, cały ciąg swojego więcej niż pięćdziesiątletniego życia na krańcach społeczności amerykańskiej przepędził: chlubił się, iż nigdy nie pozostał na tém miej-

---

(1) Amerykanie nazywają tę klasę ludzi *Squatters*, od *to squat*, przysiedź, przytulić się: albowiem trzymają się na pograniczu, jak gdyby tam przylgnęli. Izmael niekiedy pod tém nazwaniem *Squatter*, w texcie oryginalnym, wymieniany bywa.



scu, gdzie mu nie wolno było wycinać wszystkich drzew, jakieby tylko z progu swego mieszkania mógł oglądać: że niełatwo pozwolił na to, ażeby drzwi jego prawo otworzyło, i nie dopuścił dobrowolnie, ażeby dźwięk dzwonu kościelnego obić się o jego uszy. Przemysł jego dalej się nie rozciągał nad potrzeby, które były w małej liczbie, bardzo proste, a zatem i łatwe do zaspokojenia; miał tylko uszauowanie dla jednej gałęzi wiadomości ludzkich, to jest dla sztuki lekarskiej: albowiem nie pojmował zastosowania żadnej innej umiejętności, oprócz tych, których działanie pod zmysły jego podpadało: jego względy dla medycyny sprawiły to, iż przyjął propozycją pewnego doktora, który pragnąc korzystać z upodobania Izmaelowego do emigracyj i podróży, oświadczył się, iż mu gotów towarzyszyć, w nadziei wzbogacenia nowemi odkryciami historyi naturalnej, której nauka w szczególniejszém u niego staraniu, albo

raczej szaleńcem była. Doktor do rodziny emigranta został przypuszczony, który go wziął pod swoją wyłączną opiekę; wędrowali przeto razem aż do tego miejsca stepu, w najlepszym porozumieniu. Izmael przy każdej sposobności, wieszował sobie wraz z żoną, iż miał takiego towarzysza podróży, który im na nowej siedzibie mógł się stać bardzo pożytecznym, gdziekolwiekby zamieszkali, aż do spoufalenia się z klimatem.

Badania naturalisty odprowadzały go często od prostej drogi, którą postępował Izmael, słońce tylko mający za przewodnika, i nierzadko się zdarzało, iż nieobecność jego przeciągała się dni kilka. Mało jest osób, któreby zostając na miejscu jego, nie wieszowały sobie, iż były nieobecne w czasie napaści Tetonów, równie też radował się z tego nieustraszony nasz naturalista Obed Bat, albo, jak on lepiej lubił, ażeby go nazywano, Battius, doktor medycyny i członek wielu towarzystw uczonych.

Chociaż zwykła Izmaela opieszałość, żywo została wstrzęśniona przez stratę, którą poniósł, i chociaż humor jego dalekim był od uspokojenia; układał się wszakże, na-przód dla tego, że to była godzina spo-czynku, a potem, ponieważ wiedział do-statecznie, iż wszystkie usiłowania, jakiekol-wiek mógłby przedsięwziąć w śród cie-mnej nocnej pomroki, w celu odzyskania swojej trzody, stałyby się całkowicie nie-pożyteczne. Znał także bardzo doskonale niebezpieczeństwo swojego położenia obec-nego, ażeby miał narażać to, co mu po-zostało, upędzając się za poniesionemi stra-tami. Chociaż mieszkańcy stepowi znani są ze swojego do koni przywiązania; znaj-dowało się wszakże wiele rzeczy, których wędrownicy jeszcze byli posiadaczami, i w nich także jeszcze niemało mieli upodo-bania. Był to podstęp zwyczajny rozpro-szyć bydło, a wtenczas, kiedy właściciele zatrudnieni są jego zgromadzeniem, korzy-

stając z rozruchu i nieładu znaleźć zręczność do kradzieży i rabunku. Ale się będzie zdawało, iż pod tym względem Mahtorce rachował wiele na prostocie tych, których złupił. Widzieliśmy już z jak zimną krwią emigrant zniósł swoją stratę; pozostaje nam tylko skutek dojrzałych jego namysłów okazać, i z tego się właśnie wkrótce uiscimy. Ponieważ wiele oczu przez długi czas się nie zamknęło: ponieważ nie jedno ucho chciało się przysłuchiwać, ażeby schwycić szmer najmniejszy, któryby mógł o nowém niebezpieczeństwie ostrzegać; spokojność taboru, dla tego właśnie przez resztę nocy nie była przerwana. Uciszenie się i trudy wydały swój skutek zwyczajny, a przed wejściem jutrzeńki wszystko było w śnie pogrążone, wyjąwszy strażę, które tą razą dostatecznie swoją powinność wypełniły, przynajmniej jak się to przypuścić godzi: albowiem nic się nie przytrafiło, coby mogło czujność ich obwiniać, albo też jej dowodzić.

W chwili, kiedy świtać zaczynało, a mgły nieznacznie odsłaniały horyzont, osoba, której rysy twarzy niespokojność i bojaźń wyrażały, podniosła głowę ponad masę leżących pokotem w nieporządku dzieci, które jeszcze głęboko zasypiały. Była to Helena Wade, która za swoim do taboru ukradkowym powrotem pomiędzy niemi się wnięszała. Przeszła lekko wśród ciał rozciągniętych na ziemi, i zatrzymując swój oddech, dostała się aż na brzeg obwodu przez Izmaela zrobionego. Wtenczas zatrzymała się i zdawała się namyślać, azali było rzeczą stosowną iść dalej; ale pauza ta była tylko chwilowa, i wprzód, nim straż z tej strony postawiona miała czas rozpoznania jej lekkiej kibici, już była na stepie, i na wierzchołek co najbliższego wzgórza wstąpiła.

Helena przysłuchiwała się wtenczas długo, w przykrém oczekiwaniu; ale nic, oprócz powiewu rannego, który zlekka o-

koło niej poruszał trawę, do uszu jej nie dochodziło. Już się zabierała do powrotu, boleśnie w swoich oczekiwaniach omylona; kiedy odgłos kroków, stąpających po rozłogu, dał się jej słyszeć. Obracając natychmiast głowę w tę stronę, postrzegła w oddaleniu z boku człowieka, który wstępował na wyniosłość od strony koczowisku przeciwległej, zmierzając prosto ku niej, jak gdyby ją był poznał. Nie wątpiąc, że to był Paweł, już imie jego wymieniła, i zaczęła przemawiać z tą żywością porywczą, przez którą się skłonność kobiety na widok przyjaciela obwieszcza; kiedy wtém biedna dziewczyna przerwała rzecz nagle, i cofając się w tył, dodała z oziębłością:

— Ah! to pan doktor! nie spodziewałam się jego spotkać o podobnej godzinie.

— Wszystkie godziny, wszystkie pory, przystoją równie prawdziwemu miłośnikowi natury, moja dobra Heleno, odpowie-

dział człowieczek małego wzrostu, nieco starszuskowaty, chudego składu i nadzwyczajnej ruchawości, otulony mięszaniną dziwną odzieży sukiennej i skórzanej, a który zbliżał się do niej z poufałością dawnego znajomego: — ten zaś, który nie wie, ile to jest rzeczy do uważania z podziwieniem, przy słabym świtania blasku, nie zna wielkiej części rokoszy, jakieby mógł dla siebie znaleźć.

— Prawda jest, rzekła Helena, przywołując w tém sobie na pamięć potrzebę wytłumaczenia, jakim się sposobem w tej porze już za koczowiskiem znajdowała: znam sama wiele osób, które są tego zdania, że ziemia sprawuje widok przyjemniejszy w porze nocnej, aniżeli przy najświetniejszym blasku słonecznym.

— A to dla tego, że u tych osób organ widzenia jest wypukły: ale człowiek, który się chce uczyć czynnych zwyczajów rodu *kociego*, albo też odmiany *albinosów*, po-

winiem pola w tej godzinie przebiegać. Więcej powiem, że są ludzie, którzy wolą przypatrywać się przedmiotom przy zmroku, dla tego tylko jedynie, że w tej epoce dnia widzą najlepiej.

— Dla tego więc bez wątpienia W Pau się uwijasz przez noc całą?

— Uwijam się, jak mówisz moje kochane dziecię, po nocy, przeto, iż ziemia w swoich rewolucjach rozmaitych, nie używa światła dziennego, jak tylko przez połowę czasu, pod każdym jakim bądź południkiem, wtedy, kiedy to, co ja mam do spełnienia, ledwo się we dwunastu lub piętnastu następnych po sobie godzinach może uskutecznić: owoż przez dwa dni już szukam rośliny, o której wiem dostatecznie, iż się w tym klimacie znajduje: przejrzałem do źdźbła wszystkie rosnące tu zioła, i żadnego nie znalazł, któreby nie było już rozebrane, opisane i we właściwej klasie umieszczone.



— Miałeś nieszczęście doktorze, ależ przynajmniej....

— Nieszczęście! powtórzył mały człowieczek, przybliżając się do Heleny i dobywając swój pugillares z miną tryumfującą: nie, nie, moja kochana, nie mam się na co użalać. Jakoż rzeczywiście, na cóżby się użalać miał człowiek, którego los jest już zapewniony: którego sława od tej chwili ustaliła się nazawsze: którego imie obok Biufona przejdzie do potomności? — Cóż ten Biufon? prosty kompilator, który sobie zrobił imie za pomocą cudzej pracy, i który nie potrafiłby postępować w równi, *pari passu* z Solandërem, zdobywającym umiejętność nakładem swoich trudów i znojów.

— Czy nie odkryłeś miny doktorze Batt?

— Więcej niżli minę, moje dziecię! skarb nieoceniony, a którego ja jestem szczęśliwym posiadaczem: posłuchaj tylko. Po moich bezkorzystnych poszukiwaniach,

byłem zatrudniony wykreślaniem kąta, potrzebnego do znalezienia linii, którą się stryj twój udał; kiedym usłyszał głos podobny do wystrzału ogniastej broni....

— Tak jest, zawołała z żywością Helena, mieliśmy tu trwogę.

— I mniemaliście, żem się obłąkał, rzekł mędrzec, zbyt zatrudniony swoim przedmiotem, ażeby mógł pojąć prawdziwe słów jej znaczenie. Jest to niebezpieczeństwo, na którym ja nigdy się nie mógł narazić; obrawszy raz moję podstawę, znając długość linii perpendykularnej na mocy kalkułu, zostawało mi tylko wykreślić kąt i poprowadzić hypotenuzę. Atoli przekonany, że wystrzał ten wezwanie mnie miał na celu, odmieniłem kierunek drogi, stosownie do dyrekcyi huku, który się obił o moje uszy: — nie dla tego, ażebym więcej dawał wiary świadectwu moich zmysłów, aniżeli kalkułowi matematycznemu; alem się lękał, ażeby które z dzieci pomocy mojej nie potrzebowało.

— Wszystkie są szczęśliwie.....

— Słuchaj tylko, słuchaj! rzecze doktor, przerywając jej nanowo, i zapominając o swojej czulej względem chorych troskliwości, tyle zajmujący go przedmiot miał w jego oczach znaczenia. Przebyłem wielką stepu rozległość, albowiem głos daleko się rozchodzi, kiedy nie wiele przeszkód napotyka: — kiedym posłyszał tętnienie kopytów, jak gdyby bawoły stąpały po ziemi; wtenczas w oddaleniu postrzegłem gromadę zwierząt, które pnąc się na góry i z nich zstępując, rzucały się na wszystkie strony: — zwierząt, które byłyby jeszcze nieznane i nieopisane dotąd, bez najszczęśliwszego zdarzenia! Jedno z nich, a to była wyborna innych probka, biegło w niejkiej od swoich współtowarzyszów odległości: a gdy się te zwróciły ku mojej stronie, odosobnione zwierzę udało się za tymże samym popędem, i wkrótce o sto kroków tylko znalazło się ode mnie. Pil-

nowałem bardzo, ażeby się mi to szczęście nie wymknęło, i dzięki mojemu krzesiwu i mojej lampie, na témże miejscu opisanie jego wykonałem: dałbym tysiąc dollarów, moja kochana Heleno, ażeby tam któregośkolwiek z naszych chłopaków uzbrojonego fuzyą mieć można było!

— Ale masz pistolet, doktorze, czemuż go nie było użyć? rzekła Helena z rozstargnieniem, wtenczas, kiedy jej oczy przebiegały stepy: chociaż ciało jej statecznie na jednémże i tém samym miejscu zostawało.

— Tak jest: ale ten pistolet nabitý bardzo drobnemi cząstkami ołowiu, zastosowanemi do zabijania wielkich owadów czyli insektów i płazów. Nie, daleko lepiej zrobiłem, żem się nie wdawał w bitwę, w której, najpodobniejsza do prawdy, że mógłbym nie zostać zwycięzcą. Pomieściłem to zdarzenie w moim dzienniku, starając się nie opuszczać najdrobniejszych szczegółów, z dokładnością konieczną w po-

dobnych zdarzeniach. Przeczytam ci to, Heleno: dziewczę bowiem z ciebie rozsądne i oświecone: a zatrzymując to w pamięci, czego się takim sposobem nauczysz, będziesz w stanie wielkie jeszcze przysługi wyrządzić nauce, jeżeli mi się jakie nie-szczęście przytrafi. Albowiem, widzisz moje kochane dziecię, powołanie, które ja odbywam, ma swoje niebezpieczeństwa, równie jak stan żołnierski. Tej nocy nawet, dodał, rzucając mimowolnie wzrokiem poza siebie: — tej nocy pamiętnej, pierwiastek życia mojego był w wielkiem niebezpieczeństwie wygaśnięcia nazawsze.

— I przez kogoż to?

— Przez potworę, którą odkryłem. Przybliżała się coraz do mnie, w miarę, jakem się cofała, i posuwała się coraz bliżej. Nie-wątpliwie, ocaliła mi życie mała lampa, którą noszę z sobą. Pisząc ciągle, starałem się trzymać ją pomiędzy mną a dziwo-tworem, tak, iż mi za światło razem i za

puklerz posługiwała. Ale posłuchasz opisanie tego zwierzęcia, i wtenczas osądzisz o niebezpieczeństwie, na które my uczeni codziennie się wystawujemy, dla rozprzestrzenienia mocarstwa umiejętności.

Naturalista przybliżył pugillares do swoich oczu i sposobił się do czytania, najlepiej jak tylko można było, przy świetle firmamentu; jednakże przed rozpoczęciem tego swojego czytania, obejść się nie mógł bez kilku słów przemowy czy też wstępu.

— Słuchaj tylko, moje kochane dziecię, powtórzył jeszcze, a dowiesz się, jakim skarbem miałem szczęście karty historii naturalnej ubogacić.

— Jest to więc stworzenie W Pana geniuszu, rzekła Helena, przerywając na chwilę swoje wyglądania bezskuteczne, dla zabawienia się, z rozweseleniem jej właściwem, słabością doktora.

— Stworzenie! albowiem to człowiek ma władzę nadawania życia materji martwej?

O gdyby to Bóg tak zrządził! zaraz wyszłaby na świat *Historia naturalis americana*, i ujrzałabyś, moje dziecię, jakby zapędziła pod ziemię tych śmiesznych naśladowców, tego Francuza Biufona! Na przykład, znalazłby się sposób sprostowania nieskończenie maszyny zwierzęcej, i poprawienia jej widocznie, nade wszystko w zwierzętach, których ręczość jest przymiotem. Potrzeba byłoby dwa członki tylne rozporządzić na zasadach draga do podważania: — a może i na teorii kół takich, jakie się zwykle w dzisiejszych maszynach używają: chociażem jeszcze nie ułożył ostatecznie, czy ta odmiana przypaść ma na łapy przednie, czy też na tylne, a to dla tego, że jeszcze pozostaje mi do wyśledzenia, co większej muskularnej siły wymaga, cofanie się czy też pomykanie na przód. Exsudacya naturalna zwierzęcia, mogłaby zapobiedz skutkom tarcia, a tak przyszlibyśmy do najszcześliwszych

rezultatów. Ale nie trzeba o tém, przynajmniej teraz, mówić, rzekł z westchnieniem: potem podnosząc swój pugillares ku niebu, zaczął głośno czytać:

— Szóstego Października 1805 r. — jest to poprostu data, którą wiesz równie, jak i ja sam, dobrze. — *Czworonożne*, widziane przy świetle księżyca, tudzież za pomocą małej kieszonkowej lampy, na stepach Ameryki północnej (obacz dziennik co do szerokości jeograficznej i południka). *Genus*, niewiadomy, nazwany przeto naturalnie, od imienia tego, który go odkrył, a stosownie do szczęśliwego zbiegu okoliczności, iż to odkrycie przypadło w nocy, *vespertilio horribilis, americanus* (1). *Rozmiary* (przez wyrachowanie), *długość* większa stop jedenaście, *wysokość* stop sześć, *głowa* prosta, *nozdrze*

---

(1) *Bat*, po angielsku znaczy *nietoperz*, co naturalista nasz, przez wyraz łaciński *vespertilio*, wykląda.



otwarte, oczy jaskrawe i wyraziste, ogon horyzontalny i nieco zbikowaty, kopyta haczyste i niebezpieczne, uszy niewyraźne, rogi długie, rozchodzące się i straszliwe, kolor szaro-popielaty, głos donośny i przerażający, pokarmy mięsożerne, skłonności przyrodzone srogie i niepohamowane. Owoż, zawołał Obed, skończywszy swoje pyszne opisanie: — owoż zwierzę, które niewątpliwie z lwem o pierwszeństwo względem tytułu króla mieszkalców leśnych może się ubiegać!

— Nic ja z tego nie pojmuję, coś mi dotąd powiedział, doktorze Battus, odpowiedziała młoda osoba, której błękitne oczy iskrzyły się złościwością, i która lubiła częstokroć mianować doktora nazwiskiem tyle jemu przypodobaném; — ale się nie odważę więcej za nasze koczowisko wychodzić, jeżeli podobne potwory po stepie się uwijają.

— I dobrze postąpisz, powiedział natu-

ralista, przymykając się bliżej ku niej i zniżając głos, z miną porozumienia, którą niejako więcej dawał poznać, niżeli powiedział: — nigdy mój systemat nerwowo na podobną próbę nie był wystawiony: była chwila, wyznaję, w której *fortiter in re* opuszczało ręce przed tak straszliwym wrogiem; ale miłość umiejętności mężstwo moje podtrzymała, i sprawiła to, żeżem wyszedł z tryumfem!

— Mówisz doktorze językiem tak odmiennym od tego, do któregośmy nawykły w Tennessee, rzekła, przymuszając się do zachowania powagi, że ja prawdziwie nie wiem, czy pojmuję to, co chcesz powiedzieć. Jeżeli się nie mylę, chciałeś rzec, że w tej chwili miałeś cokolwiek serce kurczęcia (1).

— Niedorzeczne porównanie, które do-

---

(1) *Chicken-hearted*, toż samo znaczy, co u nas *kura zmokła*.

wodzi nieznamomości zupełnej budowy dwunożnych zwierząt. Serce kurczęcia jest proporcjonalne do jego innych organów, i ptak domowy, w stanie natury, jest pełen odwagi. Heleno, dodał z miną tak uroczą, iż niejakiś wrażenie na młodej dziewczicy uczynił: — byłem ścigany, miotany wstecz i na przód, i w takim niebezpieczeństwie, iż bez mojej odwagi.... Ach! cóż to jest takiego?

Helena zadrżała: albowiem ton poważny i mina doktora, głębokie przejęcie się wyrażająca, skończyły na tryumfowaniu po części z jej łatwowierności. Patrząc w stronę, którą miała wskazaną przez swojego towarzysza, ujrzała w rzeczy samej zwierzę, które biegło stepem, i prosto ku nim zmierzać się zdawało. Światło dzienne nie posunęło się jeszcze tak daleko, ażeby za pomocą jego skład i postawę tego zwierzęcia rozróżnić można było; wszelakoż z tego, co dostrzegła, zdawała się wui-

skować, że to było jakieś dzikie i straszliwe zwierzę.

— Otoż i jest! otoż i jest! zawołał doktor, sięgając machinalnie ręką do swojego pugillaresu, wtenczas, kiedy nogi pod nim dygotały, pomimo całą usilność, ażeby im cokolwiek nadadź ustalenia. — Zdaje mi się, Heleno, iż fortuna sposobność mi nastęrcza sprostowania omyłek, jakiem mógł popełnić przy słabém świetle firmamentu.— Obaczmy tylko.... szaro-popielaty... uszy niewyraźne.... rogi długie....

Głos jego niepewny i rękę drżącą zatrzymało nagle ryczenie zwierzęcia, tak groźne, iż mogło większą nawet, aniżeli naszego naturalisty, zachwiać odwagę. Po tym wrzasku, który się rozległ po stepie, w spadkach cudacko dzikich, głębokie i uroczyste milczenie nastąpiło, które przerwał nagle śmiech głośny i niepohamowany, wydobywający się mimowolnie z harmonijniejszych ust Heleny. Tym czasem

naturalista, jak gdyby w osłupieniu stanął, dopuszczając okropnemu potworowi wie-  
trzyć około siebie, i nie przeszkadzając  
bynajmniej zbliżeniu się jego, puklerzem  
światła, nie czyniąc najmniejszego oporu,  
ani układając żadnego komentarza.

— Toż WPana osieł, we własnej oso-  
bie! odezwała się Helena, jak tylko śmiech  
odetchnąć jej dozwolił: — WPana ulu-  
biony osieł, który do niego tak jest przy-  
wiązany!

Doktor rzucił oczyma osowiałemi i błę-  
dnemi, przenosząc je z osła na Helenę,  
potém z Heleny na osła; ale żaden by naj-  
mniejszy wyraz z ust jego nie wyszedł.

— Cóż to doktorze, alboż nie poznajesz  
zwierzęcia zestarzałego na WPana usługach?  
przemówiła młoda dziewica, której weso-  
łość jeszcze całkowicie nie przeminęła: zwie-  
rzęcia, o którym mówiłeś zawsze, iż go tak  
lekko nosiło, i któreś, jak brata rodzo-  
nego kochał.

— *Asinus domesticus!* wymruknał odechnawszy doktor, podobny do tego, który blizkim już był uduszenia. Najmniejsza wątpliwość względem rodzaju nie zachodzi, i zawsze będę utrzymywał, że to zwierzę nie jest z rodzaju *equus*. To nie wątpliwie jest *asinus* sam osobiście, moja dobra Heleno; ale nie jest to *vespertilio horribilis* stepowy. Jest to dwoje zwierząt zupełnie oddzielnych od siebie, daję ci świadectwo, i które zupełnie się różnią pod wielą bardzo istotnych względów. Tamten jest mięsożerny, dodał rzucając okiem na kartki otwarte swojego pugilaresu, ten zaś roślinożerny. W tamtym skłonności przyrodzone srogie i niepohamowane, tu przyrodzenie cierpliwe i spokojne: tam uszy niewyraźne, tu zaś długie: tam rogi długie, rozchodzące się i straszliwe, tu rogów żadnych!

Przerwał mu nanowo powstający głośny śmiech Heleny, który przywodząc go do

upamiętania się i powrócenia z doznanego przestachu do siebie, nadał inny rozmyślaniom jego kierunek.

— Obraz *wespertyliona* był na zręcznicy, rzekł nieustraszony badacz tajemnic przyrodzenia, czując potrzebę nadania swojemu wyrażeniu obrotu apologetycznego; a w mojem zbytelném zajęciu się byłem tak niebaczny, że w wierne moje zwierzę za dziwotwora poczytał:— chociaż jeszczeby się wypadało mi zapytać, dla czego to biedne zwierzę tak samopas biega po polach.

Helena wtenczas zaczęła mu opowiadać o nocnej napaści, tudzież o jej skutkach. Opisała z dostateczną wiernością sposób, jakim bydło wyprowadzone było z koczowiska, i jak potem spłoszone i przerażone rozbiegło się po stepie: a nawet pod tym względem, weszła w niektóre szczegóły, które w umyśle i nie tak prostym i nie tak zajęтым, jak doktorski, mogłyby podać ją

w podejrzenie, iż widziała więcej aniżeli mówić się jej godziło. Niepozwalając sobie tłumaczyć się w zbyt dobitnych wyrazach; wytoczyła wszakże ze swojego opowiadania, przed oczy doktorskie bardzo wielkie podobieństwo do prawdy, że to, co za dzikie brał on zwierzęta, niczem nie było, tylko trzodą rozproszoną Izmaela: zakończyła rzecz całą ubolewaniem energiczném nad stratą, którą on poniósł, i niektórymi uwagami bardzo naturalnemi, dotyczącemi się krytycznego położenia familii, która się bez żadnego do życia sposobu pozostała.

Naturalista słuchał w niemém zadumieniu, żadném wykrzyknieniem opowiadania jej nieprzerywając. Oko przenikliwe Heleny uważało tylko, że wtenczas, kiedy mówiła, ważna kartka z pugilaresu wydarta została, z troskliwością dowodzącą, iż słodka naturalisty illuzja, była zupełnie rozproszona. Od tego czasu, *vesperilio hor-*



*ribilis americanus* nie obił się o niczyje uszy na świecie, a umiejętności przyrodzone utraciły nazawsze jedno szacowne z ogniw tego wielkiego łańcucha ożywionego, który, jak mówią, łączy niebo z ziemią, i w którym człowiek tak jest do małpy zbliżony.

Skoro tylko doktor Bat dowiedział się wszystkich okoliczności napaści, jego niepokoje inny kierunek przybrały. Zostawił on był pod strażą Izmaela ogromne foljały, mnóstwo pudełek, zawierających tłum roślin rzadkich i zwierząt wypchanych; przyszło więc mu zaraz na myśl, że rabusie tak zręczni, jak Tetonowie, nie opuścili zapewne sposobności wydarcia mu wszystkich jego skarbów. Naprózno się Helena z całej usilności ukoić trwogi jego starała; ale zdobywała się na bezskuteczną wymowę, rozstali się wreszcie z sobą: doktor dla przeświadczenia się o wszystkiém własnemi oczyma, i dla wyjścia tym jedynie sposo-

bem z tak przykrej niepewności; Helena zaś dla dostania się ukradkiem i pocichu do samotnego namiotu, przed którym, kilka chwil tak szybkich, pierwszej nieco, przepędziła.

TOMKOWO  
TOMASZ CIŚCOWSKI

---

R O Z D Z I A Ł. VII.

---

Jak to? pięćdziesiąt od razu!

SZEKSPIR.

**D**ZIEN wtenczas zupełnie już był podniósł zasłonę, która pokrywała horyzont. Wejście Obeda o tej godzinie do taboru, a nade wszystko jego uholewania głośne, zrządzone przez bojaźń, azali nie postradał owocowi tylu pracowitych badań, rozbudziły familią Squattera. Izmael z synami, oraz brat jego żony: ten towarzysz ich wędrówki, którego, jakśmy już to powiedzieli, oblicze wstręt wzbudzało, byli natychmiast na nogach; i w miarę jak słońce około nich światłość swoją zaczynało rozrzucać, do-

wiedzieli się o całej, szkód poniesionych rozciągłości.

Izmael z mocno ściśnionemi zębami spozierał z razu na wozy nieruchome i ciężko obciążowane: ztamtąd oczy się jego przeniosły na gromadę dzieci, z obliczem wygłodniałym tulących się do swojej matki, w której ponurym wejrzeniu malowała się rozpacz: potem nagle wyszedł na równinę, jak gdyby powietrze obozowe było nazbyt zaciśnione, ażeby wolnie mógł niemi oddychać. Baczni jego towarzysze, którzy, na stroskanej jego twarzy starali się czytać układowane zamysły, postępowali za nim w posępnym milczeniu aż na wierzchołek poblizkiego wzgórza: zkąd widok, prawie do nieskończoności, ciągnął się po równinie; ale nic nie odkryli, oprócz ławołu samotnego, który się pasł trawą już zwiędłą, i osła doktorskiego, który korzystał ze swojej swobody, dłużej się niż zwyczajnie posiadając.

— Owoż co zbójcy nam zostawili, rzekł Izmael postrzegając spokojne bydłę: a urągając nam się jeszcze, zwracają to, co jest najnieużyteczniejszém z całej trzody! — Jest to ziemia bardzo nieużyta, i nic na niej do użęcia znaleźć nie można; a wszelakoż trzeba coś znaleźć, czémby napełnić tak liczne zgłodniałe gęby.

— Więcej znaczy fuzya niż motyka w podobném miejscu, odpowiedział starszy z synów, nogą o jałową ziemię, z twarzą pogardliwą uderzając: zdałaby się ona tym chyba, którzy życzą sobie mieć obiad z bobu raczej, jak żebracy, nie zaś z *hominii*. Wronaby łzy wylewała, gdyby jej tę dzielnicę przelatywać wypadło.

— Co mówisz na to wniczniku? rzekł ojciec, ukazując mu lekki ślad stopy synowskiej na twardej i zsiadłej ziemi: jestże to grunt, który, pomijając inne, wybrać powinien człowiek, niechcący nigdy utrudzać urzędnika publicznego w hrabstwie, do-

magając się o wydanie mu prawa na własność?

— Są grunta nieskończenie lepsze w parowach, odpowiedział, z twarzą spokojną, starzec: żeby się dostać na to miejsce jałowe, musieliście przebydź miliony morgów: tam zaś człowiek chcący uprawiać ziemię, pewnym być może zebrania tylu korcy, ileby garści zasiał, i to bez zadania sobie wielkich trudów. Jeżeliście przybyli tu szukając gruntu do uprawy; tedy posunęliście się o sto mil zanadto, albo raczej, pozostaje wam jeszcze tyleż ich do przebycia.

— A zatém, więcej znajdzie się do wyboru od strony drugiego Oceanu? zapytał się emigrant, wyciągając rękę w kierunku Morza-Spokojnego.

— Tak jest, wszystkom to widział, rzekł wnicznik, stawiając swoją fuzyą na ziemi i na końcu się jej rury opierając, jak człowiek, ze słodką melancholią, pamiętki mło-

dości na myśl sobie przywodzący. Widziałem wody obu Oceanów! Nad jednym z nich się urodziłem i wyhodowałem, podobnie jak ten mały berbec, co się tarza po ziemi. Od tego czasu, przyjacielu, Ameryka również podrosła: stała się krajem obszerniejszym, aniżelim sobie wyobrażał kiedyś świat cały. Przez siedmdziesiąt lat prawie przebywałem w Yorku, który jest prowincją i Stanem razem.... Musiałeś bydz zapewne w Yorku?

— Nie, nie, nigdy ja miast nie zwiedzał, ale o miejscu, które wymieniasz, sły-szałem częste mowy. Tam to muszą bydz, bez wątpienia, wielkie trzebieże?

— Oh! tak jest, wielkie, bez wątpienia! ich siekiery bez przestanku mordują ziemię. Boże Wszechnogący! obnażyć wzgóрки i ostępy myśliwskie, takie, jakem je oglądał, z darów Stwórcy! i oni się tego nie sromali! i nie mieli wstydu w oczach! Przemieszkiwałem tam dopókim zdołał, ale

nakoniec ogłuszony ustawicznymi karczo-  
wników razami, udałem się ku stronie za-  
chodniej, dla szukania tam spokojności.  
Była to podróż trudna i mordująca: widok  
arcy bolesny, oglądać, ze wszystkich stron,  
na moim przechodzie padające przepyszne  
drzewa, wtenczas, kiedy przez całe tygo-  
dnie oddychać musiałem zgęszczoném po-  
wietrzem na porębach płonących! Ten Stan  
Yorku bardzo daleko ztąd leży!

Leży on na pograniczu starego Kentucku,  
jak mi się zdaje, chociaż nigdy nie wiedzia-  
łem, jakaby jego mogła być odległość.

— Pliska przez tysiące mil musiała-  
by przebywać powietrzem, nimby wscho-  
dnie morze znalazła; a jednakże, nie  
jest to rozległość tak do przebycia tru-  
dna myśliwemu, kiedy się dosyć zwierzyny  
i cienia znajdzie. Był czas, w którymś, je-  
dnej i tejże samej porze roku, polował na  
daniele, w górach delawarskich i hudson-  
skich, i dostawałem bobry na brzegach



Jeziora-Wyższego; ale wtenczas, rzut mojego oka był pewny i chyży, a nogi moje w ręczości sarnim wyrównywały. Matka Hektora, dodał, zwracając wzrok czuły na psa starego, który u stop jego leżał, żyła jeszcze wtenczas, i potrzeba było widzieć ją goniącą zwierzynę, kiedy się znalazła na tropie. Byłato trzpiotka, z którą bardzo wiele miałem kłopotu!

— Pies twój, cudzoziemcze, bardzo jest stary, i byłoby rzetelném miłosierdziem dokończyć to biedne zwierzę.

— Pies jest taki, jak i pan jego, odpowiedział starzec, zdając się nie uważać na radę brutalską, która mu była dana, i dni jego zostaną policzone wtenczas, kiedy już weźmie rozbrat ze zwierzyną, ale nie pierwszej. Wszystkie rzeczy, jak widzę, zdają się być tym sposobem rozporządzone, ażeby jedne szły z drugimi. Nie jest to częstokroć najrączszy daniel, który się najlepszemu psu wymknie, ani najsilniejsze

ramie, które najpewniejszy pocisk wymierzy. Spójrzyj naokoło siebie przyjacielu. Co powiedzą karczownicy angielscy, kiedy sobie od Wód-Wschodnich aż do Zachodnich drogę utorują, i kiedy ujrzą, iż ręka, która jedném skinieniem, jeżeli się jej podoba, może obnażyć całą ziemię, wytrzebiła już wcześniej te krainy, jak gdyby igrając z ich złośliwością? Powrócą oni w też tropy, jak lis, który chytruje, a dusząca wonia sprawiona przez ich przechód, pokaże im całe szaleństwo ich spustoszeń. Cóżkolwiek bądź, są to myśli człowieka, który widział przestrzeń osmiudziesiąt pór roku, ale one nie zdołają poprawić ludzi, niewolników rokoszy swojego rodu. Co się ściąga do ciebie, powinienem cię ostrzedz, że się mylisz bardzo, jeżeli rozumiesz, żeś skończył z Indyanami. Oni się miaują prawem tej krainy właścicielami, i rzadko bywa, ażeby białemu, oprócz skóry, z której się on tak pyszni, co więcej zostawili,

kiedy tylko znajdą się w możności (na chęci bowiem nie zbywa im nigdy) wyrządzenia mu złego.

— Starcze, rzekł Squatter głosem mocnym i dobitnym, jakiego ty ludu część składasz? słuchając twojej mowy, oglądając barwę twej skóry, powiedziećby można, żeś chrześcjanin, wtenczas, kiedy się zdaje, że serce twoje zupełnie jest za Czerwonemi-Skórami.

— W moich oczach, mało jest pomiędzy narodami różnicy: lud, który ja najwięcej kochałem, został rozproszony, jak piasek z osuszonego łożyska rzeki, kiedy go uragan pomiecie przed sobą: życie zaś nazbyt jest krótkie, ażeby tak snadnie przybierać można było zwyczaje i nałogi obce, jak to się zdarzać zwykło, kiedy człowiek lata całe w pośród jakiego ludu przepędzi. Tymczasem jestem człowiekiem, w którego żyłach nie masz mieszaniny krwi Indianów, i co wojownik winien jest swo-

jemu narodowi, tom ja winien Stanom, które z resztą, ze swoją milicyą i ze swojemi zbrojnemi szalupami, nie potrzebują bynajmniej ośmdziesiątletniego ramienia.

— Ponieważ objawiasz swoje pochodzenie, mogę ci jedno pytanie zadadź: gdzie są Tetonowie, którzy bydlę moje skradli?

— Gdzie jest stado bawołów, którychśmy, przed ściganiem pantery, widzieli uciekających przez stepy niepoźniej jak wczorajszego poranku; nie jest łatwiej. . . .

— Przyjacielu, rzekł doktor Bat, który aż dotychczas słuchał z uwagą, ale który w tej chwili doznał niepohamowanej chętki wmieszania się do rozmowy: gniewa to mnie niepomału, kiedy widzę, że *Venator* czyli myśliwiec, waszego wieku i doświadczenia, idzie za błędem pospolitym. Zwierzę, o którym mówisz, jest z rodzaju zwanego *bos ferus*, lub też *bos sylvestris*, iż użyję szczęśliwego poetów wyrażenia: ale,

choć pomiędzy nimi wielkie zachodzi powinowactwo, różni się on całkowicie od mianowanego *bubulus* pospolity. Zubr będzie wyraz właściwy: jakoż rozumiałbym, że na przyszłość byłoby przyzwyczajenie tak go nazywać, jeżeli będziesz miał rzecz o tym gatunku zwierząt.

— Zubr czy bawół, bardzo mało na tém zależy. Zwierz ten sam zawsze będzie, jakiegokolwiek dałbyś mu nazwanie, i.....

— Przebacz mi zacny myśliwce: ponieważ klasyfikacja jest duszą umiejętności naturalnych, rzecz zatem konieczna, ażeby zwierzę albo *vegetabile* rozróżnione było po szczególnych charakterach swojego gatunku, który zawsze wskazuje nazwanie któ.....

— Przyjacielu, rzekł starzec, tonem dowodzącym jawnie, iż się nie przestraszył bynajmniej tym wystawnym erudycy popisem, czy ogon bobrowy będzie mniej dobrym przysmakiem, przeto, iż go nazwą *mink*? abo, czy będziesz jadł wilka z przy-

jemnością, jeżeli go mędrak jaki nazwie  
zwierzyną?

Miarkując po żywości dosadnej, z jaką te  
pytania były uczynione, rzeczą jest podo-  
bną do prawdy, iż gorąca sprzeczka mo-  
głaby się wzniecić pomiędzy dwóma zapa-  
śnikami: z których jeden znał tylko pra-  
ktykę, drugi zaś wyłącznie teoryi był po-  
święcony; gdyby Izmael nie osądził za rzecz  
przyzwoitą, położyć koniec tej dyspucie:  
zwracając powszechną uwagę na przedmiot,  
nierównie dla jego bezpośrednich korzy-  
ści ważniejszy.

— Ogony bobrowe, mięso *minka*, mo-  
gą się stać przedmiotem rozmowy przy ogni-  
sku klonowém, lub też w spokojném schro-  
nieniu, rzekł Squatter, niezabawiając się  
rozwieraniem opinij dwóch przeciwników;  
ale nie o wyrazy cudzoziemskie, ni też o  
inne tym podobne bałamuctwa chodzi w tej  
chwili. Powiedz mi starcze, gdzie się wasi  
Tetonowie ukryli?

— Równie łatwo byłoby odpowiedzieć, jakiej jest barwy sokoł, który ot tam szybuje pod bielejące obłoki. Kiedy Czerwona-Skóra swojego dopnie, nie zwykła czekać, ażeby jej podobną odplacono monetą.

— Te psy dzikie zgodzą się, że mają dosyć, kiedy się ujrzą całej mej trzody panami?

— Skłonności przyrodzone są u wszystkich, zawsze prawie też same, chociaż barwa skóry może być odmienna. Chciwość twoja zaliż jest mniejsza po zebraniu plennego żniwa, niż wtenczas, kiedy tylko zboża korzec dostaniesz? Jeżeli się rzeczy mają przeciwnie; jesteś inaczej utworzony, niżli ludzie inni, na których, przez ciąg długiego doświadczania, aż nadto sposobności miałem się poznać.

— Wytłumacz mi się jasno, starcze, powiedział Izmael, uderzając mocno o ziemię kolbę swojej fuzyi: albowiem pojętność jego zbyt ograniczona, nie znajdowała

żadnej rokoszy w rozmowie, której każda myśl zawierała przystosowania ciemne i zgoła mu niezrozumiałe: moje pytanie było jasne i bardzo proste, i wiem dostatecznie, że możesz na nie odpowiedzieć.

— Powiedziałeś prawdę: tak jest, mogę ci odpowiedzieć: albowiem żyłem nad to, ażebym nie poznał skłonności podobnych mi ludzi, kiedy im o zrobienie czegoś złego chodzi. Jeżeli Tetonowie poznachodzą wszystkie bydło, i zapewnią się, że ich nie ścigasz; powrócą jak wilki zgłodniałe, i krążąc naokoło twojego siedliska, upatrywać będą przyjaznej chwili, ażeby się rzucić na to, czego za pierwszym razem zabrać nie mogli: albo może, co jest także podobna, iż okażą skłonności wielkich niedzwiedzi, znajdujących się przy ujściu Długiej-Rzeki, i użyją pazurów swoich natychmiast, bynajmniej się wietrzeniem swojej zdobyczy niezabawiając.

— Widziałeś zatem zwierzęta, o któ-



rych mówisz? zawołał doktor Bat, który się wstrzymywał od należenia do rozmowy tak długo, jak tylko niecierpliwość jego pozwolić mu tego mogła; ale nareszcie nie wytrzymał i zabrał głos, trzymając w ręku pugillares otwarty, dla poradzenia się jego kartek. Nie mógłbyś mi też powiedzieć, azali ten, z którymś się miał szczęście spotkać, należał do rodzaju zwanego *ursus horribilis*? uszy okrągłe, czoło łękowate, oczy pozbawione powieki dodatkowej tak wydatnej.... Zęby....

— Mów dalej starcze, rzekł Izmael przerywając opisanie naturalisty: tak więc myślisz, że zobaczymy nanowo złodziejów.

— Złodziejów? nie, nie, ja tak ich nigdy nie nazywam: albowiem to jest we zwyczaju ich narodu, i co możnaby nazwać prawem stepowém.

— Owoż, pięćset mil przebyłem, szukając miejsca na którymby nikt mi uszu nie zagłuszał tym wyrazem prawo, zawo-

łał zniecierpliwiony Izmael, i nie jestem bynajmniej w humorze stawania spokojnie przed trybunałem, w którymby Czerwona-Skóra urząd sędziego sprawowała. Jedną ci tylko rzecz powiem, starcze: a tą jest, iż, jeżeliby się którykolwiek Teton odważył krążyć około mego taboru, dowie się, co zawiera w sobie ten stary Kentuck, rzekł potrząsając swoim karabinem, w sposób nietrudny do pojęcia i wytłumaczenia: tak jest, choćby kto samego Waszyngtona medal nosił na sobie, ja go nazywam złodziejem, jeżeli bierze to, co do niego nie należy.

— Tetonowie, Pawnijcykowie, Konzasowie, i mnóstwo innych ludów utrzymują, że te pustynie płaskie do nich należą.

— A więc przyrodzenie kłamstwo w ich ustach umieściło. Powietrze, ziemia i woda, są to dary wspólne wszystkim ludziom, i nikt nie ma prawa rozdzielać ich i rozporządzać niemi według swojego upodobania.

Dla czegożby każdy człowiek nie miał posiadać swojej, tych wszystkich rzeczy, cząstki; ponieważ potrzeba, ażeby każdy człowiek chodził, pił i oddychał. Jeżeli miernicy Stanów prowadzą wszędzie swoje linje pod naszemi stopami, czemu także po nad naszemi głowy ich nie ciągną? Czemu swojej pięknej skóry baraniej nie przyodziewają szumnemi i nadętymi słowy? czemu nie podziela tak powietrzem, jak rozbierają pomiędzy siebie ziemię, naznaczając jednemu tyle i tyle morgów nieba, z takimi i z takimi granicznemi gwiazdami, drugiemu taki i taki obłok, dla obracania jego młyna?

Wymówiwszy te docinki z wyrazem najgłębszej pogardy na twarzy, emigrant rozśmiał się głośno, w taki sposób, iż śmiech ten jego zdawał się z głębi piersi wynikać. Ten przystęp dzikiego i ledwie nie okropnego rozweselenia, wypogodził po kolei zasępione oblicze synów Izmaela, i

przeszedł od jednego do drugiego, aż póki ten śmiech zaraźliwy nie nawiedził z rzędu całej rodziny.

— Daj pokój starcze! dodał Izmael, tonem najlepszy humor oznaczającym, jak człowiek, który czuje dostatecznie, iż wziął przewagę: ani ty, ani też ja, takby mi się zdawało, nie mieliśmy nigdy wiele do czynienia z urzędnikami sprawiedliwości, z ich demarkacją i z ich do posiadania prawami; a przetoż na bałamuctwach czasu nie będziemy tracili. Oto już oddawna błąkasz się po tym stepie; teraz twojego zasięgam zdania, oko w oko, bez najmniejszej bojaźni i bez żadnego w świecie szkrupułu: żebyś był na mojem miejscu, jakbyś sobie postąpił.

Starzec zastanowił się: zdawał się doświadczać największego wstrętu do dawania rady, o którą go proszono; jednakże widząc, iż w którąkolwiek stronę obróciłby głowę, wszystkie oczy były weń wlepione

i zdawały się go zapytywać; odpowiedział, cichym i powolnym głosem, jak gdyby każdy wyraz mimowolnie mu się wydierał.

— Widziałem wiele krwi ludzkiej przełanej wśród marnych i nic nieznaczących sporów, i żądać nie mogę, ażebym jeszcze fuzją przeciwko ludziom obróconą oglądał. W przeciągu długich lat dziesięciu, którym w tych stepach jałowych przepędził, nie dałem żadnego strzału przeciwko cywilizowańszemu nieprzyjacielowi, jak niedzwiedź szary....

— *Ursus horribilis*, wymruknął pod nosem doktor.

Starzec zatrzymał się usłyszawszy głos jego, ale postrzegłszy, że to było tylko w pół-głósne z sobą samym rozmyślanie, prowadził rzecz dalej.

— Przeciwko cywilizowańszemu nieprzyjacielowi, jak niedzwiedź szary, lub też pantera Gór-Opoczystych, chyba, że bobra jako zwierzę mądre i pojętne uwa-

żalibyśmy za takiego. Cóż ci mam powiedzieć i doradzać? Samica nawet bawola walczyłaby do upadłego tam, gdzieby o jej niedorośli płód chodziło.

— W takim zdarzeniu nikt nie powie, że Izmael Bush mniej od bydłęcia ma ku swoim dzieciom czułości.

— Wszelakoż jest to miejsce nader odkryte, ażeby na niem dwunastu ludzi przeciwko pięciuset zbrojnie wystąpić, z nadzieją jakiegoś powodzenia, mogło.

— Prawda to jest, bez wątpienia, rzekł emigrant, zwracając wejrzenie na swój poziomy oboz, ale można się za wozami i drzewem bawełnianym obwarować.

Wnicznik potrząsnął głową, z twarzą niedowierzającą, i wyciągając rękę na rozległą płaszczyznę, ku stronie zachodniej odpowiedział:

— Z wysokości tych wzgórków fuzja może kulę aż do bud waszych wyprawić: z poszrodka nawet tego małego lasku, rozcią-

gającego się poza waszym taborem, strzały wystarczają do trzymania was w oddaleniu, a nawet do wpędzenia was do głębi waszych kryjówek. O trzy ztąd wielkie mile znajduje się stanowisko, na którym zatrzymując się w przechodzie, nie razem sobie mówił, iż tam możnaby się było trzymać przez dni całe i tygodnie nawet, jeżeliby się tylko serca nieustraszone, a ręce bitne, i do wytrwałej w każdym razie obrony zdolność, znalazły.

Ruch, jaki się zrobił pomiędzy młodymi Izmaela synami, dał poznać dosyć jawnie, iż gotowi byliby się kusić o przedsięwzięcie nierównie jeszcze trudniejsze. Ojciec ich chciwie się chwycił tego zamysłu, który starzec nastęrczył z dosyć widoczną niechęcią, przeświadczony może przez właściwe sobie rozumowanie, iż jego powinnością było zachować ścisłą neutralność. Niektóre zapytania wprost i z pewnością wymierzone, oświeciły emigranta o małej lic-

bie szczegółów, na których poznaniu wiele mu zależało, ażeby ułożone poruszenie uskutecznić; wtenczas więc Izmael, który w ostatecznych przypadkach rozwijał energią tak straszliwą, jak zwykle był bezwładnym, do ruszenia dalej przygotowania swoje rozpoczął.

Pomimo gorliwość i zapał jego synów, było to przedsięwzięcie nie tak łatwe do uskutecznienia. Należało połączonemi siłami ciągnąć, przez rozległą przestrzeń stepu, wozy ciężko naładowane, niemając innego na niepewnej drodze przewodnika, jak objaśnienia dane im przez starca. Jeżeli mężczyznom potrzeba było dobyć wszystkich sił swoich, białogłowy i dzieci nie zostały również w bezczynności: i wtenczas, kiedy synowie Izmaela, z napiężonemi ramionami i z nachyleniem na dół ciałem, ciągnęli z trudnością wozy, usiłując wdrapać się na pobliskie wzgórze; Helena z ich matką, otoczone gromadą mało-



letnich dzieci, postępowały za nimi z tyłu, uginając się każde pod ciężarem proporcjonalnym do wieku i sił swoich.

Izmael sam czuwał nad wszystkiemi i wszystkiemu sam kierunek nadawał: jeżeli się wóz który zostawał, popychał go zaraz barczy- stemi swojemi ramiony, nieodstępując od karawany aż do zatoczenia się jej na górę: gdzie młodzieńcy, płaską i równą drogę, przed sobą ujrzeli. Tu emigrant, synom swoim, wskazał kierunek, w którym postępować byli powinni: polecił im nie ustawać w swojej usilności, z bojaźni utraty korzyści, której nakładem tyłu trudów dostąpili: po tém dał znak swojemu szwagrowi, z którym obadwaj na koczowisko powrócili.

Przez czas tego poruszenia, który trwał blisko godziny, wniecznik pozostał na ustroniu, o swój karabin oparty, wtenczas, kiedy pies jego u stop mu spoczywał. Przypatrywał się wszystkiemu w milczeniu, a

uśmiech rozjaśniał niekiedy to, biegiem lat, podkopane oblicze; niema skazówka rokoszy, jakiej doznawał, widząc w całym rozwinięciu i natężonej czynności, olbrzymie siły młodych emigrantów. Ale w miarę, jak się wozy zwolna ku wierzchołkowi wzgórza posuwały, oblicze to, wesołością ożywione, zachmurzyło się nieznacznie, i wyraz powagi zawsze jemu prawie zwyczajnej przybrało. Za oddaleniem się każdego z wędrowników, baczność jego zdawała się podwajać, a wejrzenia zwracały się, od czasu do czasu, na mały namiot, stojący w odosobnieniu na stronie, wraz z wozem, na którym go przywieziono, i zdający się być w zapomnieniu. Ale wnicznik postrzegł wkrótce, iż wezwanie przez Izmaela jego towarzysza, tę tajemniczą ich ruchomości część miało za przedmiot.

Zaczawszy od rzucenia wzroku niedowierzającego naokoło siebie, Izmael i szwagier jego przybliżyli się do wozu, zatoczyli

go pod namiot, takim prawie sposobem, jakim rozkładając się pierwaj na nocleg, z pod niego wyciągnęli. Po tém się obadwaj za płótnem ukryli; gdy tym czasem przez ciąg następnych długich minut oczekiwania, starzec prowadzony tajemną chętką poznania przyczyny takiej skrytości, przybliżał się tam co raz nieznacznie, aż się wkońcu znalazł o kilka kroków od zakazanego obwodu. Chwianie się płótna, samo tylko jedyne obwieszcało tych obecność, którzy się pod niem znajdowali, a którzy z resztą chowali tam najściślejsze milczenie. Zdawało się, iż obadwaj od dawnego czasu nawykli byli do czynności, która ich w tej chwili zatrudniała: albowiem Izmael nie miał potrzeby wyrzec ani jednego wyrazu, ani dać znaku najmniejszém skinieniem, swojemu złowrogiemu towarzyszowi, co robić należało. W krótszym czasie przeciągu, niż do opowiedzenia tego potrzeba było, rozporządzenia wewnę-

trzne zostały ułatwione, i dwaj współtowarzysze za namiotem się ukazali.

Nazbyt zajęty temi swojemi przygotowaniami, ażeby mógł obecność wnicznika postrzegać, Izmael zaczął odpuszczać sznury, przywiązujące płótno do ziemi, upinając je około wozu przykrytego, tak, iż zdawało się tworzyć wielką oponę około małego pawilonu. Za każdym potrąceniem wozu, chwiała się nad nim buda sklepista, i rzeczą było jasną, iż musiała mieścić nanowo pod sobą ładunek tajemniczy, który tylu ostrożności wymagał. W chwili, kiedy już Izmael wszystko zakończył, oczy jego zwróciły się na starca, uważającego z pilnością. Upuszczając wtenczas dyszel, który już trzymał podniesiony, dla zastąpienia miejsca zajmowanego zwykle przez źwierzęta mniej rozumne, i mniej może od niego niebezpieczne, zawołał opryskliwie: — Jestem nierozsądny, jak mówicie często: prawda, i o tém się teraz dopiero sam

przeświadczyć powinienem. Jeżeli ten człowiek nie jest wrogiem, zgadzam się, ażeby mnie poczytywano za zgrozę mojej rodziny, gotowym będąc wybrać się wraz z Tetonami na łowy.

Chmura, w chwili, kiedy ją rozdziera piorunna błyskawica, nie jest ani bardziej posępną, ani groźniejszą, jak był wzrok Izmaela, rzucony na starca. Obrócił oczyma na wszystkie strony, jak gdyby upatrując oręża, tak straszliwie morderczego i zgubnego, ażeby nim nieszczęśliwego wnicznika za pierwszym ciosem w proch mógł obrócić: ale przywodząc sobie na myśl, bez wątpienia, że jeszcze rad jego będzie mógł potrzebować, dosyć się przymusić i pohamować potrafił, tak, iż z pewnym umiarkowaniem przemówił:

— Cudzoziemcze! rozumiem, że wścibiać podobnie nos w rzeczy obce, uszłoby może jako tako białogłowom mieszkającym w miastach i osadach; ale tak postę-

pować nie powinni ludzie, którzy żyją tam, gdzie jest dosyć miejsca dla każdego. Jakiemu prawnikowi, jakiemu szeryfowi zamierzasz przedadź twoje nowiny?

— Z jednym mam tylko stosunki, a i to w rzeczach tyczących się osobiście mnie samego, odpowiedział starzec, bez żadnej bojaźni i wskazując na niebo, z obliczem pełnem dostojnej powagi. Ten sędzia wie o wszystkiém, i nie potrzebuje, ażebym go o czémkolwiek uwiadaniał: i napróżnobyś się starał ukryć przed nim cokolwiek, nawet w tym dzikim i bezludnym stepie.

Dwaj emigranci, przejęci i wraz uderzeni byli tonem prostym i uroczystym wnicznika. Izmael był posępny i milczący, wtenczas, kiedy towarzysz jego rzucał ukradkiem wzrok mimowolny na firmament, który ocean błękitu ponad głową jego rozaczał, jak gdyby oczekiwał na ujście Najwyższego sędziego, rzeczywiście pod stropem niebieskim zasiadającego.

Ale wrażenia uroczyście i poważne nie trwają długo w umysłach, mało do rozmyślenia nawykłych. Namysł Izmaela wkrótce zatem ustał: zabrał głos, ale ton jego, chociaż dosyć oschły i dający jawnie zrozumieć, iż był markotny, nie był bynajmniej groźnym: z kąd się oczywiście pokazywało, że mowa pełna stałości, imponująca i dzielna, której użył starzec, zrobiła na nim jakieś wrażenie i zatamowała potok hańbiących obelg, przed chwilą wypaśdź gotowych.

— Byłoby to postępkim, dowodzącym więcej przyjaźnych skłonności, odpowiedział, i przysługą dobrego towarzysza, ażebyś przyłożył ręki do popchnięcia tych wozów, które się oddalają, zamiast trawienia czasu na uwijaniu się i krążeniu tutaj, gdzie nikt pomocy twojej nie wzywa.

— Mógłbym, równie skutecznie, odpowiedział wnuczuk, użyć tej trochy sił, która mi pozostaje, pomagając wam do ciągnięcia tego wozu, wtenczas, kiedy inni....

— Cóż to? bierzesz nas za dzieci? zawołał Izmael z uśmiechem straszliwym, i w tejże chwili krzepką prawicą zaczął ciągnąć wóz niewielki, który się toczył po trawie, z taką na pozór snadnością, jak gdyby go zwyczajny zaprząg unosił.

Wnicznik na tém samém pozostał miejscu, i prowadził oczyma za oddalającym się wozem, aż póki nie stanął na wyniośłości wzgórza i poza niém nie zniknął mu z oczu. Wtenczas się odwrócił, i przypatrywał się miejscu, na którym koczowali emigranci. Nieobecność twarzy ludzkich, zaledwieby najlżejsze wzruszenie wzbudziła w duszy tego, który od tak dawnego czasu nawykł do samotności, gdyby to miejsce nie okazywało na sobie śladów, przypominających mu przykro, i tych, którzy je tylko co zajmowali, i niebaczne ich marnotrawstwo. Podniósł oczy w górę, a potrząsając głową, smutnie spozierał na miejsce opustoszałe, które świezo jeszcze u-



słane zostało gałęziami drzew, pozbawionych swojej zieloności i walających się pod jego stopami, których pnie zostały nieużyteczne i nigdy już nowych nie rozwiną konarów.

— Tak jest, wymruknął przez zęby, powinienem był to przewidzieć, tak się zawsze dzieje, a wszelakoż sam ich na to miejsce przyprowadziłem, i wskazałem im jeszcze jedyne podobne stanowisko, które w odległości mil wielu naokoło można było wynaleźć. Owoż próżne żądze ludzkie i występne ich marnotrawstwo! Oswajają dzikie zwierzęta, dla opędzenia swoich błahych potrzeb, a odjąwszy im przyrodzony ich pokarm, uczą je ogałacać z drzew ziemię, dla usmierzenia głodu.

Lekki szelest w krzaku, rosnącym nie daleko od lasku, o który Izmael oparł był swój obóz, w tej chwili obił się o jego uszy, przerywając mu rozpoczęty monolog. Pierwszém jego poruszeniem było złożenie

się karabinem, co z czynnością i szybkością młodzieńczą wykonał: ale powracając w tejże chwili do swojego zwykłego uspokojenia, wziął go pod ramię, a podnosząc głos:

— Wynidź, rzecz, wynidź śmiało i swobodnie, ktokolwiek jesteś, ptak czy jakie zwierzę: nie masz się od tych rąk wyschłych niczego obawiać. Piłem już i jadłem; po cóżbym na czyje życie miał nastawać, kiedy moje potrzeby nie wymagają tej ofiary. Nie upłynie wiele czasu, kiedy ptaki zlecą się wydziobać te oczy, które już oglądać ich nie będą w stanie i wytchnąć będą mogły na moich wyschłych kościach: albowiem, jeżeli rzeczy tego rodzaju są utworzone na to, ażeby uległy zniszczeniu, za cóżbym się miał spodziewać żyć wiecznie? Wynidź, wynidź bez bojaźni, żadne ci niebezpieczeństwo nie zagraża.

— Dziękuję ci starcze za te uprzejme i

obowiązujące słowa, rzekł Paweł Hower, lekko się ze swojego ukrycia wymykając. Kiedyś spuścił na dół rurę swojej fuzyi, było coś w twojém obliczu, co mi się nię podobało. Tam do kata! powiedziałyby ktoś, iż się ruszyć było niepodobna bez twojego pozwolenia, i że najmniejsze uchybienie twoim rozkazom, odebrałoby natychmiast swoją nagrodę.

— Mówisz prawdę i masz słusność za sobą! odezwał się starzec z uśmiechem mimowolnym, przypominając sobie z roskoszą swoją dawniejszą zręczność. Widziałem dni, w których mało bardzo ludzi potrafiło lepiej się ode mnie obejść z długą fuzą, ot taką właśnie, jak ta, którą noszę, i większe z niej wydobydź korzyści. Tak, prawdę mówisz młodzieńcze, i był taki czas, w którym niebezpieczną rzeczą było zachwiać listkiem, które-goby szelest do uszu moich mógł dole-

cieć: albo, dodał, zniżając głos i przybierając minę poważną, żeby Mingo czerwony wychylił, aby jedno ze swojej zasadzki oko. Słyszałeś zapewne o rodzie Mingów czerwonych?

— Tak jest, o rodzie Minksów, rzekł Paweł, biorąc starca pod ramie i ku laskowi pomału prowadząc, wtenczas, kiedy rzucał przez siebie niespokojne wejrzenia, ażeby się przekonać, azali go kto nie szpiegował, o rodzie waszych Minksów czarnych pospolitych, nie zaś innej jakiegokolwiek bądź barwy.

— Miły Boże! zawołał starzec, potrząsając głową i śmiejąc się swoim sposobem, on zwierzę poczytuje za człowieka! Choć, prawdę mówiąc, Mingo nie wart więcej od zwierzęcia, jeżeli nawet nie jest gorszym od niego jeszcze, nade wszystko, jeżeli go znęci zapach rumu, albo też zrzęczność... Był jeden przeklęty Huron od jezior wyższych, któregoś stracił z wyso-

kości jego gniazda wpośród skał, poza Hori.... (1).

Głos jego przytłumił się w lesie, dokąd, mówiąc ciągle, pozwolił się zaprowadzić Pawłowi, nic na to nie zważając, ani się opierając temu bynajmniej: był albowiem zbyt mocno zanurzony w myślach, które się do scen zaszłych w historii tego kraju, przed pół wiekiem pierwój, odnosiły.

---

(1) Obacz *Ostatniego Mohikana*, T. Iszy, rozdz. VIII

## ROZDZIAŁ VIII.

---

Teraz gdy się szamocą, miejmy bacność pilną.  
SZEKSPIR.

**D**LA uniknienia w naszym opowiadaniu długości, która mogłaby utrudzać czytelnika, upraszamy go, ażeby sobie wyobraził, że już tydzień upłynął pomiędzy sceną, na której zakończyliśmy ostatni rozdział, i wypadkami, od wystawienia których zamierzamy sobie ciąg dalszy historyi naszej rozpocząć. Pora roku zbliżała się do chwili swojego przesilenia, zieloność letnia coraz ustępowała miejsca ponurej barwie jesiennej: niebo zaćmione i obciążone było chmurami, które wznosząc

się jedne ponad drugimi, toczyły się po horyzoncie z przerażającą szybkością, otwierając niekiedy pomiędzy sobą przedział, ukazujący sklepienie lazuruwe, którego blask, wśród otaczającej go pomroki, tém świetniejszy się wydawał. Na dole wichry wyuzdane straszliwemi wydmuchami przelatywały po stepie, ogołoconym z zieloności, z zapędem tak gwałtownym, iż na żadnej części lądu wyobrażenia prawie najmniejszego zrobić sobie o tém niepodobna. W czasach dawnych bajecznych wierzonoby zapewne, że bóg wiatrów pozwolił swoim burzliwym poddanym wymknąć się z ich jaskiń, i że oni teraz używali rozrywek swobodnie w pustyniach, gdzie nie znajdowali ani drzew, ani gór, ani zabudowań ludzkich, ani żadnej przeszkody, któraby straszliwym ich igraszkom stawała na zawadzie.

Jakożkolwiek nagiemi były wszystkie miejsca stepu, charakter panujący części

jego, na którą wypada teraz przenieść scenę naszej historii, ukazywał atoli niektóre życia ludzkiego ślady. Wpośrodku jednostajnych stepu rozłogów, skała się najeżona wznosiła ponad brzegiem niewielkiej rzeczki, która po długich zakrętach, przerywających płaskie smugi, rzucała się na łono jednego z licznych hołdowników Rzek-Rodziciela. U podnoża skały, w pewnym gatunku wąwozu, wznosił się szereg olszyny z rozmaitemi krzewami, które dla tego tylko zdawały się być oszczędzone, ażeby wskazać dawne miejsce lasu; reszta drzew jego, na rozmaity użytek, wycięta została. Tamto właśnie były ślady, które obecność człowieka zwiastowały.

Z dołu widzieć można było gatunek przedmurza, zrobionego z kamieni i drzewnianych kłód, nieszykownie z sobą połączonych, z czego się wydawało, iż w tej grubej robocie unikano wszelkiej niepożytecznej pracy: dalej ukazywało się kilka



dachów bardzo niskich, korą i gałęziami przykrytych, od jednej do drugiej odległości porobione były przegrody, w miejscach, które się dostępnejszemi zdawały: a nakoniec na wierzchołku niewielkiej piramidy, która się wysunęła z jednego rogu skały, ukazywał się namiot świetnej białości, którego płótno wydawało się zdaleka nakszałt śnieżnej zawały: albo, iż użyję stosowniejszego do przedmiotu porównania, nakszałt czystej chorągwi, strzeżonej pilnie, której zajmujący dolną cytadelę gotowi byli bronić, kosztem najczystszej krwi swojej. Zaledwo potrzebną jest rzeczą dodać, że ta warownia grubej budowy była miejscem, do którego się Izmuel Bush, po skradzeniu swojej trzody, schronił.

W dniu, o którym teraz mówimy, Squatter stojąc u podnoża skały, oparty na swoim karabinie, rzucał na jałową pod stopami swojemi ziemię wzrok, w którym się ra-

zem pogarda i uczucie niepowodzenia malowały.

— Przyszedł czas, w którym potrzeba będzie, ażebyśmy zmienili nasze przyrodzenie, rzekł do brata swojej żony, który zawsze był prawie obok niego, i naśladowali zwierzęta przeżuwające, nie mogąc wystarać się dla siebie pokarmu, przyzwoitego ludziom i chrześcianom. W takim razie, Abiramie, tybyś nie był w najopłakaniejszym położeniu: jesteś albowiem człowiekiem czynnym, i na pastwisku potrafiłbyś, w spożywaniu trawy, najskwapliwsze bydła wyciągnąć.

— W tych stronach nie masz nic do zrobienia, rzekł Abiram, któremu się wymuszony żart Izmaela nie podobał; a nie źle byłoby przypomnieć, że droga jest daleka, szczególnie dla tego, kto się ją odbywając zabawia fraszkami.

— Czy nie chciałbyś może, ażebym ja ciągnął w zaprzęgu wóz za sobą w tych

pustyniach przez całe tygodnie, a może i miesiące? rzekł Izmael, który podobnie jak inni ludzie, do jednej z nim klasy należący, umiał rozwinąć nadzwyczajną energiją w chwilach naglących: ale którego naturalna odrętwiałość, rzadko bardzo przerywana, nie mogła z upodobaniem widzieć zamiaru, tak wiele pracy wymagającego. To nie złe może byłoby dla podobnych tobie ludzi, mieszkających w osadach, kiedy się kwapią do domu. Ale dzięki niebu, folwark mój dosyć jest rozległy, i panu jego na miejscu do wypocznienia nigdy nie zbędzie.

— Zgoda więc: jeżeli ci się tak podobała ta plantacya, nie idzie zatém więcej o nic, jak o zebranie tylko plonów.

— To jest łatwiej powiedzieć, niż przywieść do skutku, w tej kraju dzielnicy: ale Abiranie potrzeba, żebyśmy się jeszcze dalej pomknęli, a to więcej niż dla jednej przyczyny. Znasz mię dobrze: wiesz do-

statecznie, iż w układy rzadkie z kimkolwiek wchodzę, ale zobowiązań się moich zawsze dochowuję święciej, niż wszyscy wasi fabrykanci aktów i umów, bazgranych na szpargałach papieru. Pozostaje nam jeszcze sto mil do przebycia, albo żadnej, ażeby domierzyć tej odległości, do której się ja doprowadzić was obowiązywałem.

To rzekłszy, Izmael podniósł oczy ku namiotowi, który wieńczył wierzchołek jego najeżonej warowni. Ten rzut oka pojął jego towarzysza, który nań odpowiedział niemniej znaczącym spójrzeniem: i przez jakiś wpływ tajemny na ich uczucia, czy też na ich interesa działający, dosyć było tego do przywrócenia dobrej pomiędzy nimi harmonii, która się rozstrajać poczyniała.

— Wiem ja o tém, i doskonale to czuję aż w szpiku moich kości; ale przypominam sobie bardzo dobrze powód przedsięwzięcia tej przeklętej wędrówki, i nie u-

tracę z pamięci odległości, która mię od zamierzonego kresu oddala: obadwaj my nie zbędziem z korzyścią, jak szczęśliwi i obrotni kupcy, naszego towaru, jeżeli nie doprowadzimy do końca tego, cośmy tak dobrze rozpoczęli. — Tak, jest to nauka wszystkich ludzi na świecie, jak mniemam. Słyszałem przed niejakim czasem, — było to nad brzegami Ohio, — słyszałem pewnego kaznodzieję wędrownego, który powiadał: że chociażby człowiek trwał w wierze przez bieg cały stoletniego życia, potem zaś aby raz jeden w niej się zachwiał, zasługi jego zostaną policzone stosownie do sposobu, jakim swój zawód zakończył, i że wszystko złe zostanie umieszczone na szali, dobre zaś na stronę odłożone będzie.

— I uwierzyłżeś temu, co bają zgłodniały hypokryta?

— Któż to powiada, że uwierzył jemu? odpowiedział Abiram przybierając minę

pogardliwą, która nie dobrze maskowała trwogi tajemne, wrażane mu ciągle przez rozmyślanie o tym przedmiocie: uwierzyłem już, że powtarzam to, co tam jakiś chłystek.... ale wszelakoż, koniec końców Izmaelu, człowiek ten mógł mieć jakąś słusność. On nam jeszcze mówił, że świat, we właściwem znaczeniu, nie był niczem więcej tylko pustynią, i że jedna jest tylko prawica, która kierować może krokami człowieka wśród krzyżujących się z sobą ścieżek, kiedy te, jednych ku dobremu, drugich ku złemu doprowadzają. Jeżeli tedy jest to prawdą w stosunku do całego świata, powinniśmy tem pewniej wierzyć, odnosząc rzecz do jego jednej części....

— Dajże pokój Abiramie, bądź mężem i porzuć te swoje lamentacje, zawołał ze śmiechem szyderskim emigrant. Możebyś poszedł i pomodlił się cokolwiek? ale do czegoż się to przyda, nawet według two-

ich własnych zasad, służyć Bogu przez pięć minut, a djabłu przez całą godzinę? Posłuchaj mię, mój przyjacielu, nie jestem ja wielkim rolnikiem, ale powiem ci to, czegom się własnym kosztem moim nauczył: iż ktokolwiek chce zebrać plenne żniwo, nawet na niepłodnej ziemi, powinien mocno i wytrwale pracować: i wszyscy twoi duchowni nauczyciele, co to zwykle przez noc pracują, a których ty piękne słówka tak dobrze pamiętasz, porównywają często ziemię do niwy zbożem zasianej, a ludzi, którzy na niej mieszkają, do plonu przez nią wydanego. Zważ teraz, Abiramie, ja ci to powiadam, nie wartes więcej jak oset albo też kąkol. Tak, jesteś wyciosany z drzewa bardzo miękkiego i sitowatego, które na opał nawet nie jest zdalne.

Gorzka przekora odmalowała się przez chwilę na ponurej Abirama twarzy: zapalczywość jego była widoczna, ale stateczna, wytrwała i niewzruszona tęgość charakteru

Izmaela, wnet go do upamiętania się przywiodła: tyle się on zdawał nabydź, przez swoją odwagę nieustraszoną, nad słabym i niedołęznym, swojego szwagra umysłem, przewagi.

Przystając na swojej doznanej wyższości, którą wielokrotnie w podobnych temu zdarzeniach wywierał, Izmael, nie mógł powątpiewać na chwilę, ażeby zawsze nie był tymże samym; prowadził zatem dalej ozięble rozmowę, rozprawiając wprost o swoich na przyszłość układach.

— Cóżkolwiek bądź, rzekł, uznasz sam sprawiedliwość tej zasady: że taką miarkę, jaką nam mierzą, i ludziom odmierzyć potrzeba: czyli, w jakiej monecie zaciągamy długi, taką je i płacić powinniśmy: skradziono mi trzodę, i muszę się starać zostać znowu tém, czém byłem pierwej odbierając bydłę za bydłę: a kiedy kto zadał sobie tyle pracy, że zrobił układ z dwiema stronami, byłby bardzo nierozsądny, ażeby



nie przysądził sobie czegoś za swoje trudy jako spełniający dane sobie polecenia.

W chwili, kiedy stary emigrant tak się oświadczał statecznym i stanowczym tonem, podnosząc głos co raz, w miarę, jak się zapął jego pomnażał; czterej jego synowie, którzy byli oparci o podstawę skały, postąpili ku niemu tym krokiem opieszalym, jaki był właściwy całemu rodzeństwu.

— Oto już od godziny wołam na Helenę Wade, która na wierzchołku skały straż odbywa, chcąc się dowiedzieć, azali nie postrzegła czego, rzekł starszy z synów, a ona za całą odpowiedź przestaje na skinięciu tylko głową. Helena zbyt jest oszczędna w słowach, jak na kobietę, a mogłaby mieć więcej grzeczności, niebędąc przez to mniej piękną.

Izmael spojrział w górę ku tej stronie, gdzie młoda dziewczyna niewiedząca o tém, iż dała komuś powód do urazy, odbywała wartę z takim baczeniem. Siedziała ona na brzegu

najwynioślejzym opoki, obok małego namiotu, i przynajmniej o łokci pięćdziesiąt wyżej od poziomu stepowej równiny. To, co się dawało w niej rozróżnić, odnosiło się do jej postawy, światłych długich włosów spływających z jej ramion, które wiatr rozwiewał, i wzroku nieruchomego, na pozor, wlepionego, jak się wydawało, na pewny punkt oddalony wśród stepu.

— Co to jest Nelly (1) zawołał Izmael podnosząc głos swój mocny, który szum rozhułkanego elementu pokonywał: czy postrzegasz co więcej nad sarnę lub też bawołu błakającego się po rozłogu?

Usta Heleuy oddanej statecznie uważaniu jednej rzeczy, w tej chwili się otworzyły; powstała w całej swojej wysokości, do jakiej szczupła jej kibić dochodziła, zdając się zawsze patrzeć na przedmiot niewiadomy: lecz jeżeli wymówiła jakie słowa,

---

(1) Skrócenie tego nazwania Helena.

głos jej nazbyt był słaby, ażeby go wśród świstu wichrów z takiej odległości dosłyszeć można było.

— Zapewne, ta dziewczyna widzieć musi coś nadzwyczajnego, rzekł Izmael — I cóż tam Nelly! — Czy jesteś głucha? — Nelly, czy słyszysz? — Chciałbym bardzo, ażeby to, co jest teraz przed jej oczyma, było zastępem Skór-Czerwonych: podobałoby mi się bowiem nieskończenie, znaleźć sposobność odpłacenia im tego, com winien, przy pomocy tych skał i tych warowni.

Izmael do wyrzeczonych słów przydał energiczne gesta, co nań zwróciło jego synów uwagę, którą dotąd wyłącznie zabierała Helena: lecz kiedy on przestał mówić, a synowie nanowu odwrócili oczy, dla przypatrzenia się poruszeniom młodej wartowniczkii, miejsce zajmowane przez nią przed chwilą znalazło się próżne.

— Jakém grzesznik, zawołał Asa z zapalem, tém więcej na uwagę zasługującym, iż

zwykle był najpowolniejszy z dzieci Izmaela, biedne dziewczę wicher porwać musiał.

Z poruszenia nagłego, jakie się zrobiło pomiędzy jego bracią, wyświecało się jawnie, iż pomimo ich przyrodzoną powolność i opieszałość, na wpływ błękitnych oczu, świątłych włosów i uśmiechającej się twarzy Heleny, nie byli nieczułymi: a wyraz podziwienia osowiałego, pomieszanego z jakimś interesem szczególniejszym, przeszedł od jednego do drugiego, wtenczas, kiedy kolejno na opuszczoną przez nią skałę poglądali.

— To się rzetelnie stać mogło! dodał brat drugi: siedziała bowiem bardzo blisko brzegu, a ja oto od godziny namyślałam się ostrzedz ją o niebezpieczeństwie, na jakie była wystawiona.

— Nie jestże to jedna z jej wstążek, która, oto tam widzicie powiewa? rzekł Izmael. — Ach! któż to wszedł do namiotu? nie mówiłem wam wszystkim.....

— Helena! to Helena, zawołali wszyscy bracia razem, przerywając Izmaelowi: a w tejże chwili ona się sama ukazała, dla położenia końca ich domysłom, tudzież dla usmierzenia niespokojności, do której ociążały te. maszyny nie zdawały się zdatnymi. Wychodząc z pod namiotu, Helena pomknęła się lekko, rozmyślnym krokiem, i zajmując nanowo położenie niebezpieczne, które przed chwilą opuściła, wyciągnawszy rękę ku stepóm, zdawała się mówić z żywością do kogoś, którego widzieć nie można było.

— Nelly nie jest przy swoich zmysłach, rzekł Asa, tonem pogardliwym, który wszakże łagodziły odcienia widocznego interesu: ona coś marzy z otwartemi oczyma: wydaje się jej, że widzi któreś z tych zwierząt srogich, z nazwaniami twardemi i ciężkiemi do wymówienia, któremi doktor Bat ustawicznie jej delikatne uszy kaleczy.

— Może to bydz, iż dziewczę postrzegło

jakąś hordeę Tetonów, rzekł Izmael, prowadząc oczyma po równinie: ale kilka słów, które jemu Abiram na ucho powiedział, zmusiły go zwrócić je ku namiotowi w tym właśnie czasie, kiedy opona jego zaczęła się poruszać i miotać, w taki sposób, iż nie można było tego za skutek wiatru poczytać.

— Niech tylko to zrobi, jeżeli śmie, wymruknął Squatter przez zęby. Abiramie, zna ona dosyć dobrze mój charakter, ażeby miała z nim igrać!

— Spójrzysz tylko sam. Jeżeli płótno nie jest podniesione, to ja w takim razie nic, jak sowa wśród dnia, nie widzę.

Izmael gwałtownie kolbą swojej fuzyi o ziemię uderzył, i wrzasnął tak silnie i donośnie, iżby go łatwo Helena posłyszała, gdyby uwaga jej nie była zawsze pochłonięta przez zapatrywanie się na przedmiot zajmujący ją w oddaleniu, w sposób tak ciężki do wytłumaczenia.

— Nelly! powtarzał Izmael, powróć do

namiotu, szalona! chceszże ściągnąć karę na swoją głowę! Nelly powiadam! — Ach! ona zapomniała swojego rodowitego języka; zobaczymy, czy usłyszysz inny. Squatter podniósł swoją fuzyą do wysokości ramienia, i w tymże samym czasie broń ta skierowaną została przeciwko wierzchołkowi skały. Pierwej, nimby mu jeden umiarkowany wyraz przełożyć można było, już wypadł pocisk poprzedzony nagłym blaskiem płomienia: Helena zadrżała, jak spłoszony wielbłąd, i wydawszy krzyk przeraźliwy, rzuciła się do namiotu, z lęknością dającą do wątpienia, czy bojaźń tylko, czyli też rana była karą jej lekkiego przestępstwa.

Postępek Izmaela uskuteczniiony został w sposób zbyt nagły i nieprzewidziany, tak, że mu zapobiedz było niepodobna; ale zaledwo go się dopuścił, wszyscy synowie nieobojętnie uczuć mu dali wrazenie, jakie to na nich sprawiło: oburzenie się i gniew

jednostajny malowały się we wszystkich oczach, a szmer naganiający czynność tak okrutną z ust do ust przechodził.

— Cóż takiego popełniła Helena, rzekł Asa z żywością w nim niezwykłą, ażeby strzelać do niej jak do daniela pod gonem psów, lub też do zgłodniałego wilka?

— Ona przestąpiła moje rozkazy, odpowiedział Izmael, z wejrzeniem zimnej wzgardy, które pokazywało, ile go obchodził gniew nie dobrze ukrywany i powściągany jego synów. — Rozkazy moje przestąpiła, pojmujecie? Strzeżcie się, mówię, ażeby się ta zaraza nie szerzyła dalej.

— Z mężczyzną obejść się potrzeba będzie inaczej, niż z tém biednym dziewczęciem, które tylko płakać umie!

— Asa, jesteś mężczyzną, jak to często powtarzasz; ale przypomnij sobie, żem ja twój ojciec i pan razem.

— Wiem o tém bardzo dobrze, i jaki jeszcze ojciec!



— Słuchaj młody szaleńcze. Jestem więcej niż po połowie przeświadczony, że twojemu doskonałemu czuwaniu winniśmy byli nawiedziny Tetonów; bądź przeto powściągliwym w swoich wyrazach, mój synu, który tak dobrze umiesz trzymać oczy otwarte: inaczej pociągniony byś mógł do odpowiedzialności za nieszczęścia, które twoja niebaczość na nas wszystkich spowodowała.

— Nie pozostanę ja tu długo, ażeby miało mnie napominać, jak młodą dziewczynę w spodnicy. Mówisz o prawie, jak gdybyś się ich wszystkich nie wyrzekł, a przecież trzymasz mnie na uwięzi: alboż ja także nie mam potrzeb do zaspokojenia i życia do utrzymania? Nie pozostanę tu dłużej, gdzie się obchodzić chcą ze mną, jak z ostatniem bydlęciem.

— Świat jest wielki, mój dzielny chłopcze, a na powierzchni ziemi nie jedna się znajduje piękna plantacya, której na

mieszkańcach zbywa. Idź, prawa twoje do posiadania własności są w twoich rękach. Mało jest ojców, którzy lepiej swoje dzieci, niż Izmael Bush, wyposażają; jest to przynajmniej sprawiedliwość, którą będziesz mógł mi oddać, kiedy się znajdziesz u kresu swojej podróży.

— Obacz, mój ojciec, obacz! wykrzyknęło wiele głosów razem, jak gdyby chwytając się z upragnieniem sposobności przerwania rozmowy, która mogła się stać jeszcze żywszą.

— Obacz! powtórzył Abiram, głosem podziemnym i w sposób znaczący, zastanów się, czy masz wiele czasu do tracenia go na marnych sporach Izmaelu!

Starzec odwrócił z wolna oczy od syna, który go obraził, a pełen jeszcze niechęci podniósł i poprowadził niemi w kierunku wskazanym przez Abirama: ale od chwili w której ujrzał przedmiot zajmujący bacznie tych wszystkich, którzy go otaczali

wyraz ich malował zdumiałość i osłupienie.

Kobieta stała na témże samém miejscu, które Helena przed chwilą z takim przerażeniem opuściła. Kibic jej była ile można najmniejsza, jaka się kiedykolwiek zdawała jednoczyć z pięknością: taką właśnie poeci i artyści wybierają z upodobaniem przed wszystkiemi, ilekroć nadobną kobietę chcą wystawić. Suknia czarna jedwabna, powiewana wiatrem, zdawała się pływać około tej kibici, a długie pasma gęstych włosów, czarniejszych jeszcze od tej sukni, raz ją okrywały zupełnie spadając na ramiona, to znowu na wolą wiatrów zostawione unosiły się w powietrzu. Wysokość, na której się znajdowała, nie dozwoliła przypatrzeć się w szczególności rysom jej twarzy, które wszelakoż tyle przynajmniej, ile o nich z tej odległości sądzić można było, zawierały w sobie wiele wymownego wdzięku, a w chwili jej niespodziewanego uka-

zania się, zdawały się uczucie żywego wzruszenia wyobrazać. Wątpić nie można było, ażeby to jestestwo delikatne i słabe, nie było w latach najpierwszej młodości, jeżeli tylko zupełnie jeszcze z wieku dzieciennego wyszło. Małą rączkę na podziw ukształconą przycisnęła do swojego serca, wtenczas, kiedy drugą, ze znaczącem skinnieniem wyciągała ku Izmaelowi, zdając się jego wyzywać, iż jeżeli zamysłał jeszcze o jakim gwałtownym czynie, ażeby swój cios morderczy przeciwko niej wymierzył.

Nieme podziwienie, z jakim się emigranci przypatrywali temu nadzwyczajnemu widowisku, przerwane zostało w chwili, kiedy Helena wyszła z namiotu, z wyraźną trwogą, jak gdyby podzielona równie pomiędzy bojaźnią tą, której względem samej siebie doznawała, i tą, jaką czuła względem swojej przyjaciółki; nie wiedziała przeto, czy jej pozostać w ukryciu, czyli się też dalej posunąć wypadało. Mówiła coś, ale

jej wyrazy nie dochodziły do uszu ludzi zostających na dole: ta zaś, do której były obrócone, nie zdawała się bynajmniej na nie uważać. Jednakże, jak gdyby rozumiała, iż uczyniła dosyć, starając się całą niechęć Izmaela ściągnąć na siebie, narażając się jako ofiara, nieznojoma osoba powróciła spokojnie pod namiot, zostawując widzów w osłupiałém zadumieniu, powątpiewających, azali to, co widzieli, nie było jakimś nadprzyrodzoném zjawiskiem.

Panowało ciągle głębokie milczenie, a synowie Izmaela mieli zawsze oczy wlepione, ze zdumiałością ogłupiałą, na wierzchołek skały. Spozierając potem jeden na drugiego, jak gdyby się zapytywali siebie wzajemnie, uznali wszyscy, z ich wzajemném podziwieniem, że przynajmniej dla nich ukazanie się tej, która mieszkała w namiocie, było równie niespodziewane, jak niepodobne do wytłumaczenia. Nakoniec Asa, który jako starszy z rodzeństwa, i ustępując może resztom swojego

złego humoru, pozostałym od sprzeczki, którą świeżo z ojcem swoim odbył, przyjął na siebie obowiązek wybadywania. Ale zamiast wyzywania niechęci swojego ojca, którego znał bardzo dobrze charakter niezgięty, ażeby się z jego strony mógł spodziewać jakiego w tej mierze objaśnienia, obrócił się ku Abiramowi, którego nastraszyć łatwo było, i przybierając minę szyderską:

— Owoż, rzecz zwierzę, któreś przyprowadził na stepy, jak przynętę do zwabienia innych! Wiedziałem ja bardzo dobrze, iż byłeś człowiekiem takim, który bynajmniej się nie troszczy o prawdę, zwłaszcza, kiedyby ta przedsięwzięcia jego krzyżować mogła; ale przyznaję, że tą razą przewyższyłeś samego siebie. Gazety kentuckie nazywały cię handlarzem mięsa czarnego: powtórzyły to niestokrotnie, ale dalekie wszakże były od przypuszczenia, ażebyś swój frymark aż do rodzin białych rozciągnął.

— Któż to bawi się frymarkiem niewolni-

ków? zapytał Abiram, z tonem bezczelności, głos swój z mocą podnosząc: jestem obowiązany odpowiadać za wszystkie kłamstwa, jakie się drukować w całej rozciągłości Stanów podoba? Myśl o swojej rodzinie chłopcze: myśl o sobie samym; nie masz żadnego drzewa w Kentucky i w Tennessee, któreby głosu przeciwko wam nie podnosiło! Tak jest mój młody rozprawiacz, którego język tak jest ruczawy: widziałem ojca, matkę i trzech synów, — a tyś był w ich liczbie, — opublikowanych na wszystkich słupach i pniach drzew w osadach, z obietnicą liczby dollarów dostatecznej do zabezpieczenia losu uczciwego człowieka, temu ktoby.....

Uderzenie z przyciskiem na odlew po gębie nie dozwoliło dalej mówić Abiramowi, który się zachwiał na nogach, a krew, która się z ust mu w tejże samej chwili rzucała, była dowodem, że Asa niezartując i po mistrzowsku wyciął.

— Asa, rzekł Izmael, postępując ku niemu z częścią tej dostojności, którą Opatrzność czci godny charakter każdego ojca zdawała się oznaczyć. — Podniósłeś rękę na brata twojej matki!

— Podniósłem ją na nikczemne i podłe jestestwo, potwarzające moją familią, odpowiedział młodzieniec z zapalczywością: i jeżeli on nie umie lepiej użyć swojego języka, lub też, jeżeli go powściągnąć nie potrafi, niech sobie wyrwie ten członek nieposłuszny. Nie bardzo umiem wywiąć nożem, ale w potrzebie nauczę się może poderznąć garło haniebnemu oszczercy.

— Chłopcze, dwakroć się dzisiaj zapomniałeś; niech ci się to raz trzeci nie zdarza. Kiedy prawo krajowe jest słabe, potrzeba, ażeby prawo natury mocne było. Pojmujesz mię, Asa, i znasz mię dobrze. Co się zaś tycze ciebie Abiramie, wyrządzono ci obelgę, do mnie należy czuwać nad tém, ażeby twoja krzywda została powetowana.



Bądź spokojnym, sprawiedliwość tobie wymierzona będzie; aleś się dopuścił wyrazów zbyt twardych dla mojego rodzeństwa i dla mnie. Jeżeli psiarnia prawnicza poprzybijała ogłoszenia na drzewach, nie było powodem do tego jakieś naganne z mojej strony postępowanie: wszak wiesz sam o tém dobrze, ale dla tego, żem utrzymywał tę zasadę, iż ziemia jest własnością wszystkich. Nie, Abiramie, żebym ja mógł unyć tak ręce od tego, czegom się z twojego poduszczenia dopuścił, tak łatwo, jak się mogę oczyścić z czynności z natchnienia szatańskiego popełnionych, sen mój w nocy byłby spokojniejszy, a żaden z tych, którzy noszą moje imie, nie miałby się powodu, słysząc je wymawiane, rumienić. Cicho, Asa, i ty również Abiramie: dosyć się już powiedziało. Pomysłmy pierwej wszyscy, niż się choć jeden tylko wyraz do wymówionych już przyda, że ten wyraz może pogorszyć to, co i tak już złém jest zbyt. .

Izmael, kończąc mówić, zrobił poruszenie twarzy znaczące, i z poważną się postawą oddalił, jako niezawodnie przeświadczony, że ci, do których przemówił, nie będą mieli lekkomyślności przestępowania jego rozkazów. Asa, w pierwszej chwili, potrzebował użyć całego, na jakie tylko mógł się zdobyć panowania nad sobą samym, żeby się pohamować; lecz wkrótce odpadł naturalnie w stan swojej odrętwiałości zwyczajnej, i został tém, czém był rzeczywiście, istotą, która tylko w przystępach zapalczywości mogła stać się niebezpieczną, i której wzruszenia miały własność w wysokim stopniu ociążałej bezwładności, jaka się w całej kolosalnej machinie jego postrzegać dawała; nie mogły zatem długo w poburzeniu zostawać.

Przeciwnie działo się z Abiramem. Dopóki trwało podobieństwo, iż przyjdź mogło do zapasów osobistych pomiędzy nim a jego siestrzeńcem, fizyognomja jego wy-

dawała przerażenie do najwyższego podniesione stopnia; ale jak tylko wdał swoje powagę ojciec a szwagier jego, ujrzał ze swojej strony potężnego zapaśnika: bladeść jego twarzy ustąpiła miejsca cerze śniadej, okazującej, iż obelga, którą odebrał, nakszałt rozczynu skrycie w sercu jego fermentowała. Jednakże, równie jak Asa poddał się on stanowczemu Izmaela wyrokowi, a dobra harmonija, na pozór przynajmniej, przywrócona została pomiędzy istotami, które tylko słabe wędzidło wątlej powagi, jaką Izmael umiał dotychczas pomiędzy swoim rodzeństwem utrzymywać, hamowało.

Jednym ze skutków tej niesnaski było, iż myśli młodych emigrantów zupełnie inny wzięły kierunek, przez co całkowicie o pięknej nieznajomej zapomnieli. Prawda, że się między nimi niektóre tajemne i pełne żywości rozmowy odbyły na stronie, a spójżenia porozumiewających się z sobą osób, dosyć widocznie dawały po-

znać przedmiot, który je zajmował; ale te oznaki groźby wkrótce zniknęły, i wszystko do porządku i zwykłego milczenia powróciło.

— Chcę wstąpić na skałę i spojrzeć, azali nie masz gdzie w sąsiedztwie dzikich, rzekł, po krótkiej zwłoce, Izmael, przybliżając się ku swoim dzieciom i nadając swojemu głosowi wyrażenie, bardziej niż zwykle rodzicielskie, chociaż zawsze zachował w nim tę moc i tęgość, która najmniejszego sprzeciwieństwa nie dopuszcza. — Jeżeli nie masz czego się obawiać, wystąpimy na równinę; dzień jest bardzo drogi, i marnować go się na słowach nie godzi, jak to robią kobiety miejskie, które plotą, przy swojej herbacie, co im ślina do gęby przyniesie.

Nie czekając odpowiedzi, Izmael zbliżył się ku podstawie skały tworzącej gatunek muru pionowo ściętego, wysokiego na stop dwadzieścia prawie, który naokoło jego warownią otaczał. Przybywszy do samego podnoża, jej zwrócił się aż ku miej-

scu, z którego można było wstępować do góry wśród ciasnych przedziałów: te on z ostrożnością obwarował był, wznosząc parapet z kloców bawełnianych, a przed nim jeszcze z gałęzi tegoż samego drzewa obronne przegrody powznosił. Ponieważ miejsce to było kluczem fortecy, zawsze człowiek uzbrojony stał tam na straży, a młody wojownik, który w tym czasie ją odbywał, opierał się od niechcienia o ułamek skały, gotowy do upadłego bronić na nią wstępu, jeżeliby tego wypadła potrzeba, ażeby dać czas całej zbrojnej gromadzie do zajęcia rozmaitych obronnych stanowisk.

Z tej strony nawet trudno było na opokę wstępować. Do przeszkód utworzonych przez naturę, przyłączyły się te wniemałej liczbie, których sztuka przydała; nie bez ciężkiej zatem trudności Izmael dostał się na pewny gatunek terrasu, gdzie powznosił budy, w których się cała jego familja mieściła. Chałupy ich, podobne tym, które

bardzo często na pograniczu prowincyy wi-  
dzieć można, a które do dzieciństwa sztuki  
należą, pobudowane były z drzewa. Kloce  
drzew, kora i żerdzie, wszystkie materiały  
tych budynków stanowiły. Miejsce przez  
nie zajmowane mogło sto kwadratowych  
stop obejmować, a było dosyć ponad płaszczyznę stepu wyniesione, tak iż, jeżeli  
nie mogło całkowicie przed pociskami fan-  
dyan zasłonić, przynajmniej znacznie ich  
niebezpieczeństwo zmniejszało. Tam to,  
rozumiał Izmael, iż mógł śmiało zostawić  
swoje niedorosłe dzieci, pod pieczę ich  
walecznej matki, którą właśnie w tej chwili  
tam znalazł zaprzętą zachodem swoim  
domowym: córki ją otaczały, które go-  
spodarna Estera, od czasu do czasu łajała  
w miarę, jak się im udawało gniew jej  
ściągnąć na siebie; a nazbyt była zatrud-  
niona, iżby mogła jakiegokolwiek baczenie  
zwracać na burzę, która tak gwałtownie  
pod jej stopami grzmiała.

— To jest, prawdziwie wyborne miejsce, któreś wybrał na swoje stanowisko, Izmaelu! rzekła, udzielając chwilę wytchnienia swojej małej dziesięcioletniej córeczce, która obok niej cała we łzach, zachodziła się od płaczu i łkania, wymierzając natarczywość całą na męża. — Człowiek tu zawsze nowém i czystém oddycha powietrzem: bo gdybym umarła, jeżeli co chwila nie rachuję tych dzieci, dla zobaczenia, czyli wiatr którego z nich mi nie porwał! Dla czego stoicie wszyscy zgromadziwszy się w okrąg pod skałą, jak gdyby odrętwiałe węże wtenczas, kiedy się niebo ptastwem okrywać zaczyna? Alboż rozumiecie, że się gęby mogą napełnić i głód sam przez się ustać, jeżeli prześpicie i przepróżnijecie dzień cały?

— Masz właściwe sobie prawdomówstwo, *Isthe.*, rzekł mąż wymawiając jej imię, z akcentem właściwym prowincjom amerykańskim, i rzucając na swój tłumny orszak wejrzenie, tolerancją raczej, au-

żeli czułość wyrażające. — Ptastwa ci potrzeba? dobrze więc, będziesz je miała, byleby tylko twój język nie przepłoszył go i nie zmusił do zbyt wysokiego lotu. Tak jest, kobieto, dodał, — stojąc na tém samym miejscu, z którego Helenę przed chwilą, bez wielkich zachodów, odprawił, — i bawołu także, jeżeli oko moje może jeszcze rozpoznać zwierzęcia w odległości mili hiszpańskiej.

— Zejdź na dół, zejdz na dół, i działaj raczej, zamiast mówienia. Mężczyzna, który rozprawia, niewart jest psa szczekającego. Jeżeli się jaka zgraja Skór-Czerwonych ukaże, Nelly zawczasu, dla ostrzeżenia was o tém płótno rozwinie. Ale Izmaelu! do kogo to wystrzeliłeś? albowiem twojej to huk fuzyi przed kilką minut słyszałam, albo jeżeli się rzeczy mają przeciwnie, słuch mój musiał swoją czułość na wrażenia głosu utracić.

— Bach! było to dla przepłoszenia sokoła, którego widzisz unoszącego się ponad skałą.



— Sokoła! prawdziwie, jest to najprzyzwoitsza chwila strzelać do sokołów i dudków, wtenczas, kiedy ośmnaście osób z otwartą gębą pożywienia wygląda. Przypatrz się pszczole, przypatrz się bobrowi, mój mężu, i naucz się od nich baczenia na przyszłość. — Izraelu! — Rozumiem, na moję uczciwość, dodała, porzucając kądziel i wrzecziono, rozumiem, że znów wszedł do namiotu. Przepędza więcej niż połowę swojego czasu na marnej.....

Powrot nagły męża zamknął jej usta, przestała więc na mrukotaniu, przez zęby, pod nosem, nie okazując w inny sposób swojego złego humoru. Rozmowa, która się wszczęła wówczas pomiędzy tym stadkiem była krótka i wyrazista. Żona z początku monosylabami tylko odpowiadała. Ale troskliwość jej o dzieci, dała zapomnieć wkrótce wszelkich niechęci. W końcu, ponieważ ta ich rozmowa nie miała innego celu, jak rozporządzenia łowów, na których Izrael miał

resztę dnia przepędzić dla opatrzenia się w nieodbitcie potrzebną żywność, nie bę-  
ziemy więc jej tu przywozić.

Z tém postanowieniem, starzec zstąpił  
na równinę, i na dwie gromady siły swoje  
i dzielił: jedna z nich powinna była, dla  
strzeżenia fortecy, pozostać, druga zaś udać  
się z nim na myśliwską wyprawę. Miał  
tę przezorność, iż do tej ostatniej gromady  
przyłączył Asę i Abirama, wiedząc bardzo  
dobrze, iż nie było innej władzy nad jego  
powagę, zdolnej do pohamowania burzli-  
wego charakteru jego syna, jeśliby go do  
kłótni wyzwano. Jak tylko wszystkie te  
rozporządzenia ukończone zostały, myśli-  
wcy udali się na łowy, i w niewielkiej od-  
skały odległości, rozdzielili się dla utwo-  
rzenia koła w taki sposób, ażeby okrążyć  
stado bawołów, które w pewnem oddaleniu  
postrzegli.

**TOMKOWO**

**TOMASZ DUBOWSKI**

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO.**

**INSTYTUT**

**BADAŃ LITERACKICH PAN**

**http://rcin.org.pl**

**00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71**

**Tel 26-68-63**





F

15.404/1